

Contains a 72-page booklet entitled "Jurban Suchowoli" (Ḥurbn Sukhovolie : le-zikoron fun a Yidish shtetl tsvishn Bialistok un Grodne; "The Destruction of Sukhovoliye: In Memory of a Jewish Town Between Bialistok and Grodno"), written by Symche Lazar in 1946, in Cremone, Italy, but published in Mexico in 1947 by members of a group of former residents of Sukhovoliye, Poland. - <https://collections.ushmm.org/search/catalog/irn22842>

## **Zagłada Suchowoli**

### **Pamięci żydowskiego miasteczka między Białymstokiem i Grodnem**

**Opowieść Symchy Lazara**

Tytuł oryginału: „*Khurbn Sukhovolye, lezikaron fun a yiddish shtetl tsvishn Bialystok und Grodn*” wyd. w Meksyku w 1947 roku pod redakcją S. Zabłudowskiego  
Przekład z Yiddisz na angielski - Zygmunt Elton,  
z angielskiego na polski - Jacek Kiljański

## Suchowola przed Zagładą

Suchowola leżała przy drodze z Białegostoku do Grodna. W okolicy leżały inne miasteczka: Sokółka, Knyszyn, Jasionówka, Korycin, Dąbrowa, Janów, Goniądz, Osowiec, Nowy Dwór oraz mniejsze osady.

(...)

Suchowola liczyła sobie 3000 mieszkańców, z których 2000 stanowili Żydzi.

Żydzi zajmowali się głównie handlem i interesami. Wielu z nich miało własne warsztaty i pracowało jako szewcy, stolarze, krawcy czy rymarze. Żydowscy rzemieślnicy wędrowali w tygodniu po okolicznych wioskach oferując swe usługi chłopom i wracali do domu na szabat. Żydowscy kupcy wysyłali zboże, produkty zbożowe i warzywa do Białegostoku i Grodna, czy to koleją, czy też używając żydowskich wozaków.

Z Grodna przyjeżdżało się przez las, a potem ulicą Szkolną na Rynek. Droga z Białegostoku wiodła ulicą Długą<sup>1</sup> i dalej przez las.

Rynek leżał w centrum miasta. Tam stał w otoczeniu drzew kościół katolicki, tam mieścił się także posterunek policji i budynek straży pożarnej. Przy Rynku leżały liczne żydowskie sklepiki i składziki. Główna ulica dzieliła się na dwa odcinki: dolny, w którego rejonie biegła ulica Szkolna i górny.

Przy ulicy Szkolnej stała bardzo stara, licząca sobie kilkaset lat synagoga – masywny drewniany budynek zbudowany w stylu podobnym do stylu innych synagog w okolicy. Suchowola była dumna z jego architektury i z długiej historii.

Przy tej samej ulicy znajdowały się jesziwy (domy nauki): stara i nowa, a także jesziwa<sup>2</sup> murowana, dwie sale zgromadzeń stowarzyszeń Psalmów i Tory, oraz biblioteka gromadząca książki w wielu językach, choć głównie w Jidysz i po hebrajsku.

Starsi mieszkańcy Suchowoli uczęszczali do synagog i domów nauki, w których dochodziło do zwykłych dyskusji, sprzeczek i gdzie rozwiązywano spory. Żydzi byli bardzo przywiązani do swego miasteczka i troszczyli się o swoją wspólnotę. Domy i interesy przekazywano z pokolenia na pokolenie, ojcowie przekazywali handel swoim synom, a rodziny oszczędzały na jedzeniu po to, by dać swoim dzieciom możliwość studiowania Tory i uczęszczania do szkół świeckich. Młodzież spotykała się w bibliotece.

Krótko mówiąc – Suchowola była naszym ukochanym miasteczkiem. Nic dziwnego, że i teraz, gdy wciąż wspominamy stary dom i miasteczko, w którym się urodziliśmy, dorastaliśmy i poznawaliśmy świat, boli nas serce i ogarnia rozpacz. My, setki Suchowolan rozsianych po świecie, chcemy, by wspomnienia Symchy Lazara stały się pomnikiem, który wejdzie w skład panteonu żydowskich osiedli Europy Wschodniej. Nie będziemy zajmować się zbytnio Suchowolą przed Zagładą. Wolimy raczej skoncentrować się na opowieści naocznego świadka zniszczenia naszego rodzinnego miasta. Dołączamy do tej publikacji liczne zdjęcia zebrane przez Suchowolan jako przypomnienie dawnego oblicza miasteczka. Trzeba od nowa spisać jego dzieje. *Wydawca*

---

<sup>1</sup> Dost. „Długa Wsią”, prawdopodobnie chodzi o ulicę Białostocką.

<sup>2</sup> Fragment niejasny, sugeruje, że w Suchowoli były trzy budynki szkolne. Jesziwy były wyższymi szkołami religijnymi, prawdopodobnie nie istniały w Suchowoli, w której mogła funkcjonować inna, niższa szkoła talmudyczna. Możliwy błąd tłumaczenia oryginału.

# Zniszczenie społeczności żydowskiej w Suchowoli koło Grodna (Polska)

**Symcha Lazar**

Jest to prawdziwa historia, którą przeżyłem wraz ze swoimi najbliższymi i najukochańszymi, z przyjaciółmi i wszystkimi mieszkańcami naszego ukochanego miasteczka – Suchowoli. W swoich zapiskach spróbuję opisać nieco dokładniej życie miasteczka przed założeniem getta, życie w getcie, życie w obozie koncentracyjnym w Kiełbasicie koło Grodna, ostateczną likwidację getta i drogi wiodące do Auschwitz, a stąd – do krematoriów.

## **1941-1943: lata strachu i zagłady**

W pierwszych dniach okupacji niemieckiej, wojsko zachowywało się całkiem poprawnie. Żołnierze przychodzili do żydowskich sklepów i kupowali różne towary: czekoladę, mydło, pastę do butów i słodycze, płacąc papierowymi bonami.

Żołnierze byli zaskoczeni ilością Żydów. Wszędzie sami Żydzi! Oto, jak wyglądały naprawdę miasta w Polsce. Wydawało się, że mieszkają tu sami Żydzi i wszystko do nich należy.

Porządek nie trwał długo. Po paru dniach władze rejonowe zjechały do Suchowoli i zaczęły powoływać małe grupy Żydów do pracy. Wtedy zjawiły się oddziały Gestapo i SS. Zwykle nadciągały za wojskiem i szybko zaczynały swoją zbrodniczą działalność.

W Suchowoli zjawiły się pod koniec czerwca 1941 roku. Gestapo zorganizowało nabór sporej grupy młodych Polaków, którzy, jak zakładano, pomogą im aktywnie zorganizować pogromy i uśmiercanie Żydów. Niemcy dali tym Polakom metalowe pręty i kazali im spędzić Żydów na Rynek, w okolice kościoła. Kiedy spędzono wszystkich Żydów, zaczęło się mordercze dzieło: Polacy przeciskali się przez tłum Żydów wybierając poszczególne osoby do bicia. Bili ich na śmierć. Ofiary z obrażeniami głów, z połamanymi kończynami snuły się ulicami, wyczerpane, padając gdzie popadło tylko po to, by skończyć. Tak zmarł kupiec Jakow Pitluka, którego ciało znaleziono przed domem Arona Hirsza Titkina. Ciało Szachne Marina, Zajdla Furie, Ezraha Strinkowskiego, Szachne Kusaja, Lejzora Borowika, Izraela Grodzieńskiego, dwóch Żydów z Dąbrowy, jednego z Janowa i jeszcze jakiegoś o nazwisku Marienberg, znaleziono w innych miejscach.

Polacy zaatakowali i obrabowali żydowskie domy i sklepy. Nasyciwszy swoją chciwość, spędzili do szkoły żydowskiej około stu Żydów i urządzili im mordercze bicie. Wszyscy bez wyjątku byli strasznie pokrwawieni. Nasz czcigodny rabin Cwi Kalir był w tej grupie.

Trzymano ich tam w strasznych warunkach bez jedzenia i picia przez cały dzień, tak, że więźniowie woleli już raczej umrzeć, niż znosić to niehumanitarne traktowanie. Pod wieczór mordercy kazali kilku spośród więźniów uprzątnąć ciała zmarłych, a resztę uwolnili.

Ciała zabitych zebrano na jednym miejscu, koło domu Symchy Lewina, niedaleko cmentarza żydowskiego. Tylko ciało Izraela Grodzieńskiego zostało pochowane na środku Rynku. Niemcy kazali wykopać na cmentarzu duży dół, gdzie zrzucano całkowicie ubrane ciała zabitych, jakby były kupami kamieni. Kiedy grób wypełnił się ciałami, Niemcy kazali przykryć go ziemią. Ciało Izraela Grodzieńskiego na rozkaz Niemców pochowano na Rynku stawiając drewnianą tabliczkę: „Tu leży Żyd zastrzelony za przeciwstawianie się władzy niemieckiej”.

Potem mordercy wyciągnęli z murowanego domu nauki około 120 ludzi bijąc ich okrutnie. Kazali polskiemu młynarzowi Stelmakowi zamknąć stawidła i spiętrzyć wody rzeczki. Kiedy pobite i wciąż krwawiące ofiary popędzono ulicą w dół, ku rzece, polscy i niemieccy mordercy wciąż okładali ich słabnące ciała. Tymczasem Niemcy stojący na moście nad rzeczką fotografowali sceny pogromu. Uzbrojeni Niemcy patrząc na cały ten spektakl byli gotowi strzelać do każdego, kto próbowałby oporu. Żydów przepędzono przez rzekę, na drugą stronę, ku cmentarzowi żydowskiemu. Umęczeni Żydzi myśleli, że pędzą ich do zagajnika, by ich tam zastrzelić. Ale nic takiego się nie stało. Mordercy szykowali coś znacznie bardziej okrutnego. Nie chcieli, by Żydzi rozstali się z tym światem w sposób względnie łagodny, jak przy rozstrzelaniu. Żydów spędzono do domu Lejba Francowskiego stojącego na skraju lasu, niedaleko od cmentarza żydowskiego. Zaryglowano od zewnątrz drzwi, zabito deskami okna, dom obłożono suchym drewnem, które polano benzyną i podpalono.

Polscy chuligani otoczyli płonący dom uzbrojeni w metalowe pręty i siekiery pilnując, by nikt nie uciekł. Cały dom stanął w płomieniach, a krzyki przerażenia i wrzaski płonących Żydów odbijały się echem od pobliskiego lasu.

Niektórzy z uwięzionych Żydów próbowali uciec z tego piekła. Przy pomocy jakichś pozostawionych mebli powybijali okna i zasłony z desek i płonąc rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł. Tu czekali jednak polscy chuligani, którzy próbowali dokończyć dzieła.

Wielu spośród uciekinierów tygodniami leczyło oparzenia. Niektórzy z uwięzionych spalili się całkowicie. Wśród nich 75-letni Jakow Cybuli i 60-letni Cymbal, nazywany „Dobry Szabes”. Wśród tych, którzy zostali ponownie pobici był wspomniany już rabin Cwi Kalir, którego zmuszono do klęczenia przed kościołem z wiadrzem na głowie ku wiecznej hańbie jego polskich oprawców.

Mordercy zmusili Żydów, by zebrali zwoje Tory z synagogi i domów nauki, a także wszystkie książki żydowskie w Jidysz i po hebrajsku, w których spisano historię Żydów. Zwalono je na stos przed synagogą, naprzeciwko domów Josła Liszesa i Icchaka Zazdry. Bandyci podpalili stos i kazali Żydom przegarniać płonące księgi tak, by ogień strawił wszystkie pisma. Powietrze wypełniło się dymem a płomienie zaniósłły myśli i idee spisane w księgach wprost do nieba. A Bóg, nasz jedyny Bóg cicho przyglądał się zagładzie Żydów i wszystkiego, co żydowskie. Stara synagoga stała jakby zawstydzona gwałtem przeciwko niej, opróżniona ze wszystkich zwojów i ksiąg, z roztrzaskaną szafą na Torę, z całkowicie zniszczonymi pięknymi rzeźbami, połamanymi mosiężnymi menorami walającymi się po podłodze.

Po wykonaniu „świętego dzieła” na chwałę Hitlera i ojczyzny, Gestapo opuściło Suchowolę, prawdopodobnie po to, by udać się z podobną wizytą do innych żydowskich osad. Miejscowość powróciła pod władzę komendanta powiatowego, którego zadaniem było zebranie Żydów w oddziały pracujące każdego dnia dla Niemców. Grób Izraela Grodzieńskiego z napisem : „Tu leży Żyd zastrzelony za przeciwstawianie się władzy niemieckiej” sprawiał żydowskiej społeczności niemało kłopotów. Odwiedzający miasteczko cywile i żołnierze zatrzymywali się by czytać napis, który ich prowokował.

Komendant wojskowy powoływał codziennie od 250 do 300 Żydów do codziennych prac: czyszczenia ulic, rąbania drewna, noszenia wody itp. Pracę nadzorowali Polacy, którzy korzystali z każdego pretekstu, by bić Żydów. Na dziedzińcu szkoły polskiej pracowało dwunastu chłopców żydowskich w wieku 14-16 lat, których zatrudniali Niemcy nieustannie ich męcząc. Pewnego dnia 14-letni syn Melchera Szklara, Icchak, został okrutnie pobity. Nie mogąc znieść bólu, skorzystał z tego, że nadzorca znajdował się wewnątrz budynku i uciekł. Kiedy Niemcy spostrzegli ucieczkę, zagrozili, że zamordują wszystkich pozostałych chłopców, jeśli Icchak natychmiast nie wróci. Rodzice chłopców zaczęli się domagać od matki chłopca, by ten wrócił do pracy i ocalił życie pozostałych jedenastu. Matka miała potworny dylemat. Próbowwała uspokoić matki, których dzieciom groziła śmierć, ale te były nieprzejednane: chciały ratować swoje dzieci. W końcu pani Szklarowa musiała znaleźć syna i oddać go z rozdzierającym serce płaczem Niemcom. Ci zastrzelili go natychmiast z zimną krwią. Tak zginął ten bohaterski i niewinny chłopiec 19 lipca 1941 roku.

Matka opłakiwała go miesiącami. Poświęciła syna, aby nie mieć na sumieniu śmierci pozostałych jedenastu. Wróciła do domu wstrząśnięta, ze złamanym sercem. Syna pochowano na dziedzińcu polskiej szkoły.

Nieco później stworzono Polskie Siły Policyjne składające się ze wszystkich chuliganów, którzy organizowali pierwszy pogrom. Kierował nimi najgorszy ze wszystkich – Scheinke. Do kolaborantów należeli też: bracia Borowscy, Micze<sup>3</sup> Rydzewski, Franciszkiewicz, Kułakowski, Tolkowski, Szkudler, Kasprowicz, Waszkiewicz, Henryk, Zieniuk, Brezowski i wielu innych. Ta banda urządziła sobie rozmaite rozrywki, do ulubionych należało bicie niewinnych Żydów. 23 lipca 1941 roku spędzili około 80 dzieci żydowskich i zmusili je do zorganizowania parodii pogrzebu przywódcy sowietów – Józefa Stalina. Dzieci miały nieść portret Stalina i śpiewać rozmaite pieśni, podczas gdy eskortujący policjanci bili je bezlitośnie. Nikogo nie oszczędzano, lejąc chłopców i dziewczęta poprowadzono ich nad rzekę. Nakazano zamknąć stawidła by spiętrzyć rzeczkę, chciano potopić w niej dzieci tak, by mogli to zobaczyć i sfotografować Niemcy.

## **Niemcy podejmują decyzje odnośnie Rady Żydów (*Judenratu*) i nakładają na Żydów obciążenia nie do udźwignięcia.**

W tym czasie istniało już ciało reprezentujące Żydów, które było odpowiedzialne za dokładne i szybkie wdrażanie wszelkich rozkazów władz. W chwili, gdy około 80 dzieci zagrożonych

---

<sup>3</sup> Nazwiska (imiona?) polskich kolaborantów prawdopodobnie zostały przekręcone albo przez autora, albo w czasie tłumaczeń, np. „Henryk” jest prawdopodobnie imieniem albo Waszkiewicza, albo Bieniuka, było jednak oddzielone przecinkami i dlatego zachowują najwierniejszą możliwą pisownię.

było utopieniem, członkowie rady poszli zbierać wszelkiego rodzaju produkty: masło, jaja itp. I zanieśli je Niemcom. Udało się im uzyskać rozkaz, który powstrzymał chuliganów przed dokończeniem dzieła. Ku wielkiej radości wszystkich dzieci wróciły do domów, chociaż pobite i pokrwawione, ale żywe.

Pogrzeb Stalina kończył drugi krwawy szabat. Nadciągały nowe kłopoty. Niemcy zaciągali Żydów do prac porządkowych na ulicach, noszenia wody i drewna władzom. Tymczasowe ciało reprezentujące Żydów zwróciło się do komendanta i przekupiwszy go różnymi dobrami uzyskało pozwolenie na pochówek zabitych Żydów i na usunięcie z rynku napisu, który przysparzał tylu kłopotów i zmartwień. Pozwolono nam ekshumować ciało Izraela Grodzieńskiego i Icchaka Szklara, a także na szczątki spalonych żywcem Żydów i na pochowanie ich na cmentarzu żydowskim.

W niedzielny wieczór 27 lipca grupa Żydów zebrała się w domu Gedaliaha Szwarca przy ulicy Janowskiej, aby wypełnić święty obowiązek. Wśród zebranych byli: Mojsze Futiel, Glikson, Szmul Levin, Lejzor Marinberg, Szmul Daban, Chaim Szmul Symchowiec, Naftali Pieszczański, Wolf Wajner, Alter Gritz, Lejb Charlop i ja sam.

Przygotowaliśmy wózek, parę łopat i szpadli. Nie było konia, by pociągnąć wóz. Poszliśmy na Rynek. Ulice były wymarłe, bo nie wolno było wychodzić z domu po 7 wieczorem. Ludzie siedzieli za zamkniętymi drzwiami i panowała kompletna cisza. Kiedy dotarliśmy na Rynek zatrzymał nas niemiecki żołnierz. Podeszliśmy do niego z Gliksonem i powiedzieliśmy o naszym zadaniu. Wiedział o nim i pozwolił wykonać naszą robotę.

Kiedy wydobywaliśmy ciała naszych krewnych wybuchł płacz i lament. Było to śmiertelnie niebezpieczne, bo Niemcy zagrozili, że zastrzelą nas, jeśli jakiś hałas zwróci czyjąkolwiek uwagę. Krewni musieli zatem powściągnąć swe uczucia. Gryźli swe języki i połykali łzy.

Ciepły letni wietrzyk zaszumiał w wysokich drzewach wokół kościoła, jakby dzieląc z żałobnikami ból. Prędko wydobyliśmy zwłoki, owinęliśmy je w całuny i złożyliśmy na wózku. Zakopaliśmy dół i wyrównaliśmy ziemię. Kondukt ruszył ku cmentarzowi. Mężczyźni pchali i ciągnęli wóz przez całą drogę zatrzymując się przed starą synagogą aby oddać cześć zmarłym ale także i wiekowej świątyni. Zapadający zmrok towarzyszył naszej drodze ku rzece, tylko turkot kół przerywał wieczorną ciszę. Plusk wody w rzece przypominał nam o tragedii, jaka miała miejsce w tym miejscu zaledwie kilka dni wcześniej. Wyobrażaliśmy sobie tonących młodych ludzi, ich rozpaczliwe wołanie o pomoc, podczas gdy polscy mordercy zabijali żelaznymi prętami naszych braci i siostry.

Po przejściu mostu i wyjściu poza miasteczko, kondukt zbliżył się do cmentarza. Wydawało się nam, że wysokie drzewa pytają nas o powody zamieszania wśród ciszy nocnej: co się tu dzieje? Czyj to pogrzeb w środku nocy? Czemu to ludzie pchają wóz? Spazmatyczne szlochy żałobników były jedyną odpowiedzią.

Próbowaliśmy zahamować wzbierający żal. Baliśmy się, że ktoś nas zauważy. Podchodziliśmy bliżej do domu Lejba Frankowskiego. Tu, stając się pastwą płomieni nasze najdroższe, ukochane dzieci, siostry i bracia walczyli o życie. Oto szczątki budynku ze sterczącym nagim kominem stały jak pomnik ludzkich straconych istnień. Przypominaliśmy sobie potworne sceny: płonący ludzie skaczący przez okna, jak w jakimś śmiertelnym tańcu. Kto może wyobrazić sobie te straszliwe sceny? Kto uwierzyłby, że tak dużo żydowskiej krwi przelano? Jak długo Wszechmogący będzie się przyglądał naszemu cierpieniu w milczeniu?

Droga stawała się ciemniejsza, jakby przykrywał ją ciemny chodnik. Z jednej strony las, z drugiej cmentarz. Podeszliśmy do bramy i otworzyliśmy ją cicho. Szliśmy wąską ścieżką. Po obu stronach stare nagrobki leżące wśród trawy i drzew wydawały się patrzeć na nas z zadziwieniem. Co ci Żydzi robią tu w środku nocy, gdy wszyscy zmarli leżą cicho w swoich grobach? Co się stało? Nie mogliśmy odpowiedzieć. Naszym wspólnym językiem była cisza.

Pchaliśmy wóz, gdy nagle usłyszeliśmy dźwięk samochodu zbliżającego się drogą od strony Grodna. Światła samochodu przeszły zarośla cmentarne. Pochyliliśmy się, aby nie zauważono nas z samochodu. Kiedy auto przejechało, zaczęliśmy kopać grób dla naszych braci i siostr. Podawaliśmy sobie po kolei szpadle, by każdy z nas miał udział w pochówku pierwszych ofiar pochodzących z naszego miasteczka. Skończyliśmy kopać i powoli złożyliśmy martwe ciała do grobu na wieczny spoczynek. Krewni nie mogli rozstać się ze swoimi zmarłymi: płakali i szlochali, dopóki ostatni szpadel ziemi nie spoczął na mogile.

Następnego ranka ekshumowaliśmy ciała spoczywające przed domem Symchy Lewina. Powiedzieliśmy krewnym zabitych, że mogą uczestniczyć w pogrzebie pod warunkiem, że zachowają całkowitą ciszę. Mogliśmy mieć poważne problemy, jeśli zauważono by nas z drogi, po której jeździły liczne wojskowe samochody.

Kiedy zakończyliśmy tę operację, udaliśmy się do domu Lejba Frankowskiego pozbierać szczątki ofiar pożaru i pochowaliśmy je na wieczny spoczynek wraz z częściowo spalonymi zwojami Tory i świętymi księgami. Trudno opisać te rozdzierające serce sceny.

Następnego dnia miejscowe władze zebrały ludzi do pracy. Każdego dnia coraz więcej Żydów było bitych. W lutym 1942 roku grupę Żydów zapędzono na posterunek policji, by wymierzyć im po 25 batów. Byli to: Izraela Marinberg, Walter Mały, Szlomo Rabinowicz i Jakow Era Francuz. W wymierzaniu chłosty uczestniczyli następujący polscy policjanci: Klimowicz, młodszy Brzozowski, Szainke, chuligan Polkower, Bieniasz i Kiszlukowie z Białostockiej.

## Utworzenie getta w Suchowoli

Pewnego dnia władze wprowadziły zakaz swobodnego poruszania się Żydów. Powołano do istnienia getto i natychmiast zaczęto wcielać w życie plany jego organizacji. Ogłoszono, że bez getta groziłoby nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Nagle okazało się, że troszczą się o nasze dobro...

Na getto przeznaczono ulicę Janowską. Wszyscy Żydzi mieli się przenieść w obręb tej ulicy. Wydało się to nam niemożliwe, bo przy ulicy tej było za mało wody. Każdy, kto pamięta studnię przed domem Szminki Gopersztajna, wie, że było to jedyne źródło wody w tej okolicy. Umarlibyśmy z pragnienia. W odpowiedzi na naszą prośbę otrzymaliśmy zapewnienie, że getto zostanie poszerzone aż do miejsca między domami Mojsze Futjala i Bezalela Szwarcza. Wiadomość przyjęliśmy z wielką ulgą.

Władze zaangażowały żydowskich robotników do kopania dołów pod płot z drutu kolczastego, który miał wyznaczyć granice getta.

Niemcy ogłosili, że jesteśmy szczęściarzami, że mamy getto. Polakom nie wolno było tam wchodzić i nawet Niemcy mogli do nas wchodzić tylko za specjalnym pozwoleniem. Bez

getta byliśmy bezbronni: można nas było atakować, rabować czy bić. W ten sposób byliśmy bezpieczni...

Kiedy płoty były gotowe, Niemcy kazali wszystkim Żydom zabrać, co tylko mogli ze sobą i przeprowadzić się do getta. Nie można było wracać po pozostawione rzeczy, które podlegały konfiskacie. Żydzi zaczęli pakować swoje nędzne mienie, które mieli sami zanieść do getta. Nie dano im żadnego innego środka transportu. Pochód Żydów z tobołkami na plecach, albo, jeśli mieli szczęście, pchających wózki zapakowane mieniem, stanowił widok rozpaczliwy.

Załamani i bezbronni ciągnęli z móżdżem drogą do getta. Jedni nieśli stoły, inni dźwigali krzesła, albo węzłki na plecach. Resztę rzeczy zostawili bez opieki w swoich domach. Polska policja cały czas działała bijąc biednych ludzi kijami i żelaznymi prętami i wyrrywając im rzeczy, które wydawały się mieć jakąś wartość.

Kiedy wszyscy Żydzi znaleźli się za drutami kolczastymi, pojawił się problem rozlokowania wszystkich na tak małej przestrzeni. Trzeba było upychać po 4-5 rodzin w każdym domu. Trudno było znaleźć miejsce, by się gdzieś wyciągnąć. Inne urządzenia były mocno niewystarczające. Jak można ugotować w jednej kuchni posiłek dla pięciu rodzin jednocześnie?

Bardzo często *Judenrat* musiał interweniować i przenosić rodziny; bogatszych do równych im majątkiem, a biednych do biedoty. Wszystko to wprowadzało złą atmosferę, po pewnym jednak czasie sytuacja jakoś się ułożyła i wszyscy znosili zły los w nieco bardziej przyjaznym duchu. Usunięto część mebli, aby zapewnić mieszkańcom więcej przestrzeni. W końcu każdy dysponował przestrzenią około pół metra kwadratowego..

Ledwie rozwiązano jedne problemy, pojawiły się nowe. Pewnej niedzieli miasteczko obudziły dźwięki strażackich syren. Ludzie wyskakiwali z łóżek. Okazało się, że wybuchł pożar przy ulicy Kasprowicz<sup>4</sup>. Jacyś Polacy podpalili dom Mojsze Farbsztajna i obwinili o to Żydów. Krążyły plotki, że pożar był zemstą Żydów za zamknięcie ich w getcie i przejęcie domów żydowskich przez Niemców. Takie plotki wywołały w getcie panikę: wiedzieliśmy, że możemy w ich wyniku wszyscy zginąć.

W tym czasie burmistrzem Suchowoli był krawiec Miłkowski<sup>5</sup> znany ze swoich antysemickich poglądów. Policja natychmiast aresztowała właściciela domu i skatowała go. Aresztowano też jego siostrę Mirkę, którą pobił komendant policji, chuligan ze wsi Wołkowo<sup>6</sup>. Pomagali mu w tym policjanci: Szluk, Klimowicz i inni. W powietrzu wisiał pogrom.

Policjanci zmusili Żydów, by pomagali strażakom nie omieszkawszy przy tym pobić ich jeszcze.

Rada Żydów zdecydowała się szukać pomocy u burmistrza Mikielskiego. Byłem z nim zaprzyjaźniony. Poszedłem do niego starając się przekonać go, iż oskarżenia były bezpodstawne. Dodałem, że nikt o zdrowych zmysłach nie niszczyłby swojej własności: wojna w końcu się skończy i ludzie będą chcieli ją odzyskać.

---

<sup>4</sup>      Możliwość błędu w tłumaczeniu, być może chodziło o ulicę prowadzącą do Karpowicz.

<sup>5</sup>      Sprzeczne z informacjami w akapicie poniżej, być może błąd w tłumaczeniu

<sup>6</sup>      Możliwość błędu w tłumaczeniu



Moje argumenty i 25 dolarów przekonały burmistrza. Komendant zamknął sprawę wraz z polskim prokuratorem<sup>7</sup> Motaiskail<sup>8</sup>, który też otrzymał 25 dolarów łapówki. Farbsztajn został wypuszczony z aresztu ku wielkiej uldze całej społeczności.

Komendant wojskowy opuścił Suchowolę, a na jego miejsce wprowadzono stałe władze. Najpierw pojawili się żandarmi, a następnie cywilni urzędnicy administrujący miastem i gminą. Meister Weiss, szef żandarmerii sprawiał w czasie pierwszej wizyty wrażenie dżentelmena. Wkrótce jednak zaczął się domagać licznych przysług strasząc Żydów surowym traktowaniem. Oczywiście dostawał zaraz to, czego żądał. Szef administracji, Hans Urban, wybrał pewną liczbę Polaków do pracy w jego biurach. Wkrótce potem zażądał, aby Żydzi wybrali niezwłocznie radę – Judenrat, złożoną z 12 członków. Członkami Judenratu zostali: Lejzor Simcha, Jeszajachu Glikson, Naftali Pieszczanski, Lejzor Marinberg, Wolf Weiner, Tanchum Berl Suraski, Mejer Kramer, Mojsze Futiał, Alter Polak, Dawid Jerusalmiski, Izrael Marinberg i Mendel Treszczanski. Następnie Urban kazał stawić się przewodniczącemu Judenratu i jego zastępcy na spotkanie o 2 po południu następnego dnia.

Mój zastępca - Jeszajachu Glikson i ja sam, pełniący rolę przewodniczącego, stawiliśmy się o wyznaczonej godzinie w biurze pana Urbana. Przyjęcie, jakie nam zgotował, było straszne. W czasie spotkania wyjął pistolet i położył go na stole. Następnie wyciągnął listę rzeczy, jakie mieliśmy mu dostarczyć w ciągu dwóch godzin: meble, obrusy, sztuce, pościel i wiele innych rzeczy, których potrzebował, by urządzić sobie mieszkanie. Kiedy skończył czytać listę, wziął pistolet, schował go i wrzasnął, że mamy się wynosić. Bez słowa wypadliśmy za drzwi. Byliśmy zdruzgotani. Zdaliśmy sobie sprawę, że nie mamy do czynienia z człowiekiem, ale z bestią.

Pozostali członkowie Judenratu czekali na nas niecierpliwie na podwórku Gedaliela Szwarca. Powiedzieliśmy im o żądaniach Urbana. Zatkło ich ze zdumienia i strachu, bo czas, jaki dostaliśmy był bardzo krótki. Pospieszyliśmy jednak czym prędzej zebrać konieczne rzeczy. Każdy z nas miał wyszukać, co się dało. Zaczęliśmy gromadzić rzeczy i w końcu udało się nam przed upływem dwóch godzin zebrać wszystko, czego od nas zażądano.

Żandarmi, urzędnicy pocztowi, właściciele ziemscy i porucznik wystąpili ze swoimi żądaniami później. Robiliśmy wszystko, by zadowolić szantażystów, bo nasze życie zależało tylko od ich dobrej woli. Nad głowami Żydów, którzy nie wykonywali rozkazów należycie, nieustannie wisiała groźba kary śmierci.

Komendant wkrótce zaczął wprowadzać nowe porządki. Dokonywał inspekcji domów, w których żyliśmy w getcie i jeśli nie był z ich stanu zadowolony, kazał je niszczyć.

Codziennie wyznaczano około 300 Żydów do wyznaczonych robót. Zbierano ich co rano i prowadzono do roboty pod nadzorem Polaków, którymi kierował antysemita Józef Karny. Wśród nadzorców uzbrojonych w kije i pręty byli znani bandyci: Ostrowski, Walachowicz i inni. Na zakończenie pracy Żydów zbierano ponownie i liczono, żeby przeciwdziałać ucieczkom. Po apelu prowadzono ich do getta. Przed bramą polscy policjanci rewidowali każdego – kobiety i mężczyzn – w poszukiwaniu jedzenia czy czegokolwiek innego.

---

<sup>7</sup> Błąd w tłumaczeniu na angielski?

<sup>8</sup> Błąd w tłumaczeniu na angielski? Być może chodzi o nazwisko Matyskiel (?)

Zniszczono wiele żydowskich domów. Starą synagogę i domy nauki zrównano z ziemią. Synagogę murowaną zamieniono na spichlerz, zrujnowano wejście i zburzono schody do pomieszczenia dla kobiet.

Uwaga władz zwróciła się wtedy ku gettu. Rozebrano płot wokół getta i utworzono nowe getto przy ulicy Kościelnej, w najgorszej części miasta. Nawierzchnia ulic tam nie istniała, domki były małe i źle zbudowane, stare, ulice pokrywał brud i błoto. Tylko kilka domów na początku ulicy nadawało się do zamieszkania, reszta była ruiną.

Próbowaliśmy wynegocjować u komisarza za wszelką cenę jeszcze kilka domów. Zaprzyjaźniliśmy się z szefem niemieckich oddziałów inżynierskich, hauptmannem Foelkiem, który w tym czasie odbudowywał spalone zakłady. Za jego pośrednictwem próbowaliśmy wpłynąć na władze, by powiększyły getto. Hauptman Foelk był przystępnym człowiekiem, który w sekrecie wyznał nam, że nie cały Wehrmacht popiera Hitlera. Udało się nam poszerzyć getto do połowy ulicy Szkolnej, od ceglanego domu Mordechaja Muszega do domów Majera Kramera i Zaidki Chaszyńskiego. Oczywiście sowicie opłaciliśmy wszystkich, włączając Hauptmana, komendanta miasta i szefa żandarmerii.

Komendant miasta dotrzymywał obietnic. Chociaż był pijakiem, udawało mu się jednak pozostawać trzeźwym. W sekrecie powiedział nam, że Żydzi z okolic mają dołączyć do nas w getcie. Na rozkaz landrata powiatu sokólskiego, mieli się do nas sprowadzić ludzie ze spalonej Dąbrowy Białostockiej, którzy nie mieli swojego getta oraz z Nowego Dworu koło Grodna. Powiedział nam też, że miało to nastąpić w ciągu dwóch tygodni, do 15 marca 1942 roku. Miał być zbudowany dwumetrowej wysokości płot z rozpiętym na szczycie drutem kolczastym, który uniemożliwiałby przechodzenie przez ogrodzenie. Miały powstać dwie bramy: stale zamknięta brama przy ulicy Szkolnej i druga, od ulicy Kościelnej. Wejść mieli pilnować polscy strażnicy. Na rogach ogrodzenia miały stać wieże strażnicze, aby nie wymieniano towarów czy żywności ze światem zewnętrznym. Był to istic diabelski plan zagłodzenia więźniów na śmierć. Te słowa wryły mi się w pamięć.

W końcu lutego zaczęliśmy budować getto, chociaż ziemia była jeszcze zmarznięta na kamień. W najgorszą zimową pogodę trwały prace przy pomocy oskardów i siekier. Kopano doły w zmarzniętej ziemi, aby ustawić płot. Wielu Żydów skatowano przy pracy, którą nadzorowali żandarmi ze swoim dowódcą Weissem. Do 15 marca 1942 stanął płot z drutem kolczastym na szczycie i z dwumetrowym znakiem głoścącym: „UWAGA! STREFA ZAMKNIĘTA. WSTĘP SUROWO ZABRONIONY. Podpisano: Landrat (Administrator Dystryktu).

Nadszedł czas przenosin do getta. Niemcy dali nam na to jeden dzień. Przy okazji Niemcy konfiskowali żydowskie mienie, bydło i konie – Żydzi nie mieli pić mleka ani jeździć wozami. Żydzi musieli sami pchać swoje wozy z mieniem przeprowadzając się do getta. Skonfiskowany majątek przypadł częściowo Polakom.

Srożyła się zima. Panowały wielkie mrozy, ale jeszcze większe było przygnębienie w sercach Żydów. Wielu Żydów przekazało swoje mienie zaprzyjaźnionym gospodarzom, albo zakopywało je w ziemi mając nadzieję, że odzyskają je po wojnie.

Kolejne problemy pojawiły się po przybyciu do getta. Poza brakiem miejsca do życia, nie było środków, by przeżyć. Jak mieliśmy sobie dawać radę? Kupcy potracili swoje interesy, rzemieślnicy swoje warsztaty, Kuźnie pozostały poza gettem, krawcy nie mogli przynieść

swoich maszyn do szycia do getta. Życie Żydów załamało się pod każdym względem: materialnie i duchowo. Okoliczni gospodarze nie mogli wchodzić do getta. Los stawał się z dnia na dzień coraz gorszy. Tak właśnie miał wyglądać według landrata sokólskiego. Landrat sam był obecny przy przeprowadzce do getta. Sam dowodził żandarmami i polskimi chuliganami w czasie bestialskich ataków na więźniów getta robiąc przy tym cały czas zdjęcia.

## Czarne chmury nad gettem

Jak przeżyć? – oto kolejny problem, jaki mieliśmy rozwiązać. Jak przetrwać w getcie? Z wielkim wysiłkiem szukaliśmy odpowiedzi na te pytania. Pierwszą rzeczą do zrobienia było zawieszenie podatków płacących gminie przez mieszkańców. Rada próbowała pokrywać wydatki z różnych przedsięwzięć, które prowadziła, jak to opiszemy poniżej. Z wielkim wysiłkiem udało się zorganizować piekarnię, która miała odtąd dostarczać chleba wszystkim mieszkańcom getta. Prymitywny zakład produkował naczynia ceramiczne, da których surowce znaleźliśmy na terenie getta.

Udało się nam otworzyć gabinet dentystyczny w getcie i uzyskaliśmy zezwolenie na otwarcie takiej działalności poza gettem, świadczącej swoje usługi dla chrześcijan.

Pozwolono nam otworzyć warsztaty dla różnego rodzaju rzemieślników. Zebrano narzędzia i materiały dla kuźni, w której pracowali razem wszyscy kowale. Podobnie zorganizowaliśmy spółdzielnię krawiecką, kapeluszniczą, stolarską, i innych zawodów. Wkrótce okazało się, że produkujemy nadmiar towarów jak na potrzeby ludności getta. Musieliśmy szukać klientów poza gettem. Trochę czasu zajęło nam uzyskanie pozwolenia na sprzedaż naszych wyrobów zwykłym ludziom. Mogliśmy wychodzić poza getto do okolicznych wsi i zbierać zamówienia na nasze towary. W wyznaczone dni tygodnia nasi handlarze wychodzili, spotykali się z mieszkańcami wiosek i zapewniali nam zamówienia, które później należało zrealizować. Ceny towarów zostały ustalone przez władze niemieckie. Oddychaliśmy z pewną ulgą: życie w getcie zaczynało się stabilizować. Handel ułatwiał nam kontakty ze światem zewnętrznym i stał się dla naszej społeczności źródłem dochodu. Płacono z tego raz w tygodniu, w niedzielę, pensje dla handlarzy. Część zatrzymywano, by pokryć wydatki.

Stolarze chodzili do okolicznych wsi pracować u chłopów. W zamian mogli przynieść do getta trochę ziemniaków. Niestety, nie mogli zostawać we wsiach na noc. Chodzenie w tę i z powrotem codziennie było bardzo męczące. Policja codziennie sprawdzała pozwolenia na pracę.

Nagle nadciągnęły nowe kłopoty, chyba najgroźniejsze z tych, z jakimi przyszło się nam zmierzyć. W wyniku zatłoczenia getta i złych warunków higienicznych, wśród mieszkańców zaczął się szerzyć tyfus. Znaleźliśmy się między młotem i kowadłem: baliśmy się powiadomić o tym nieszczęściu władze, z drugiej jednak strony za ukrywanie epidemii groziła nam śmierć. Baliśmy się, że władze zamkną getto, co oznaczałoby dla nas samobójstwo, śmierć z głodu. Zdecydowaliśmy się nie robić nic bez względu na skutki.

Walka z epidemią była bardzo trudna. Zmarło wielu młodych ludzi. Mieliśmy tylko jednego lekarza – doktora Lwa z Białegostoku, zięcia właściciela fabryki włókienniczej Fiszla Kuplińskiego. Pewnego razu władze kazały mu wybrać pod groźbą śmierci ludzi niepełnosprawnych umysłowo z getta. Odmówił wykonania tego polecenia. *Judenrat* musiał

interweniować w tej sprawie i trzeba było znaleźć pieniądze na sporą łapówkę, by uratować życie przeznaczonych na śmierć i życie doktora Lwa.

Z wielkim trudem uzyskaliśmy pomoc jeszcze dwóch lekarzy: doktora Chackiego z Białegostoku i doktora Epsztajna z Grodna. Zorganizowaliśmy przychodnię dysponującą właściwym personelem a także aptekę kierowaną przez pannę Szapiro z Nowego Dworu. Wyrabialiśmy sami lekarstwa, co zapobiegło przedostaniu się wiadomości o rozmiarach epidemii poza getto, do polskich farmaceutów.

Łącząc wszystkie te środki zdołaliśmy zahamować epidemię, a w końcu ją pokonać. Zorganizowaliśmy łaźnię publiczną w spichrzu Herszta Sokólskiego i wprowadziliśmy obowiązek kąpieli dla więźniów getta.

Ledwie z trudem opanowaliśmy epidemię, a już dopadły nas nowe kłopoty. Pewnego pogodnego dnia do getta przybyła grupa ludzi. Byli to Żydzi z Dąbrowy – miasta, które spaliło się nieco wcześniej. Musieliśmy natychmiast znaleźć tym biedakom miejsce do zamieszkania i nakarmić ich. Trudno opisać widok, jaki sobą przedstawiali. Byli głodni, nieubrani i brudni. Niektórzy z nich byli chorzy i wyczerpani. Niedydziejsi obywatele Dąbrowy.

Ich przybycie wiązało się z masą problemów. Sami doświadczaliśmy ich wcześniej. Robiliśmy, co się dało, by im ulżyć i zaspokoić ich potrzeby. Znaleźliśmy pomieszczenia, odzież i opierunek. Każdy dawał, co mógł, najwięcej ofiarował *Judenrat*. Zorganizowano publiczną kuchnię, która żywiła 500 osób. Sytuacja finansowa pogarszała się z dnia na dzień. Musieliśmy znaleźć jakieś nowe źródła dochodu, by pokryć te olbrzymie wydatki. Z nikąd nie mieliśmy pomocy. Większe getta nie były w stanie pomóc, a pomoc z zagranicy do nas nie docierała. Musieliśmy znaleźć rozwiązanie w obrębie naszego getta. Wpadliśmy na pomysł założenia olejarni. Udało się z pomocą komendanta miasta, chociaż nie pomógł nam za darmo. Dzięki przystępnej cenie udało się nam racjonować dla każdego po 100 g tłuszczu na głowę. Te niewielkie porcje uratowały wielu ludzi od pewnej śmierci. Przestaliśmy przygotowywać jedzenie bez wartości. Komendant pozwolił nam również kupować w państwowej mleczarni odtłuszczone mleko, którym zwykle karmiono świnie. Przywoziliśmy mleko w beczkach do getta i sprzedawaliśmy je po 9 fenigów za litr, z czego 2 fenigi szły do kieszeni komendanta. Nie mieliśmy wyboru, chwytałyśmy się każdego sposobu, by zapewnić przeżycie mieszkańcom getta. W ciepłe dni mleko zsiadało się i wtedy robiliśmy z niego chude sery. Otworzyliśmy też sklep mleczarski kierowany przez doświadczonego człowieka – syna Waltera Juski. To do niego należało dostarczanie beczek z mlekiem do getta. Przy wejściu polscy strażnicy sprawdzali długimi kijami, czy nie przemycamy na dnie jakichś towarów, na przykład masła czy mięsa.

Przywódcą strażników był młody wyrostek, który nieustannie nas dręczył. Codziennie przeszukiwał wracających z prac poza gettem Żydów, tak mężczyzn, jak i kobiety w poszukiwaniu jedzenia, jakie przemycali dla swoich głodnych dzieci. Biada tym, których złapał na gorącym uczynku. Wielu dostało po 25 batów za przemycanie kawałeczka chleba.

Ten wściekły sadysta dopiekl nam wszystkim ogromnie i musieliśmy sporo się naprosić i sporo posmarować komendantowi, zanim usunięto go ze stanowiska. Jego następcą był syn szewca Szkudler, niewiele lepszy od poprzednika. Pobył na tym stanowisku trochę by ustąpić miejsca niejakiemu Borowskiemu, głośnemu antysemitom, byłemu członkowi antysemitowskiej

partii NARA<sup>9</sup>. Broniliśmy się przed nimi, jak przed wilkami. Ich postępowanie przyniosło wiele cierpień Żydom w getcie.

Pewnego dnia landrat sokólski przysłał specjalnie przeszkolonego komisarza, który miał zajmować się sprawami getta i polskiej policji. Ten Niemiec z Pijanica<sup>10</sup> był niezbyt bystry. Rozlokował się na piętrze budynku szkoły, tak, by stale widzieć bez przeszkód getto. Umieblował mieszkanie ukradzionymi Żydom meblami, pościelą i sprzętami. Ze swojego kapitańskiego mostku ćwiczył sztukę rządzenia. Często, po pijanemu, wizytował getto by sprawdzić jego czystość, albo po prostu by dręczyć ludzi bijąc ich.

Czasami kontrolował ludzi opuszczających getto do pracy i powracających do niego. To były czarne i smutne dni pełne cierpienia. Jeszcze raz próbowaliśmy przekupstwa, by ułagodzić sytuację. Zaprzyjaźniliśmy się z nim i z jego żoną i wysyłaliśmy im podarunki. Życie nieco zelżało, znów mogliśmy szmuglować jedzenie. Oddychaliśmy z ulgą. Zaczynaliśmy się przyzwyczajać do naszego losu, do mordowania nas.

Nagle dotarł do nas nowy rozkaz. Niemieckie firmy budujące drogi domagały się od landrata ludzi do pracy. Nie było powodu, dla którego Żydzi mieliby tkwić w gettach. Powinni przecież zostać poddani wszelkim torturom, zwłaszcza głodzeniu i ciężkiej pracy. 200 gramów chleba, jakie dostawali powinno być okupione krwią i potem. Mieliliśmy dostarczyć 100 ludzi do pracy przy budowie drogi z Janowa do Sokółki. Judenrat miał ciężkie zadanie. Oznajmiliśmy, że nie jesteśmy w stanie dostarczyć liczby wymaganej rozkazem i że władze same muszą wybrać pracowników spośród mieszkańców getta. Nie byliśmy w stanie znieść odpowiedzialności wobec rodziców dzieci wybranych do pracy. Jak moglibyśmy ocenić, kto się nadaje?. Która matka zgodziłaby się wysłać swoje dzieci do niewolniczej pracy pod nadzorem polskich bandytów, którzy byli gorsi, niż Niemcy?

Nie wykonaliśmy tego rozkazu. Wkrótce po naszej odmowie do getta wkroczył pluton żandarmów pod dowództwem komisarza. Całe getto opróżniono z mieszkańców, którzy zebrali się pod szkołą, na dużym placu. Dziesiątki Żydów zostało skatowanych. Nim wybrali 100 mężczyzn i kobiet, plac spłynął krwią. Dostaliśmy gorzką nauczkę za nieposłuszeństwo rozkazom władz. Wśród wybranych znajdowały się rodzeństwa z tych samych rodzin, a nawet rodzice z dziećmi. Ludzie protestowali i domagali się, by wyboru dokonał Judenrat. Selekcja byłaby bardziej sprawiedliwa i obyłoby się bez niepotrzebnego rozlewu krwi. Stworzono by spis ludności, spośród którego Judenrat wybierałby robotników w odpowiedzi na żądania władz. Jednocześnie powołano komitet pomocy, który miał potrzebującym robotnikom dostarczać jedzenia i ubrań.

Ledwie minęło to pierwsze starcie z władzami, a już dostaliśmy rozkaz wyznaczenia kolejnych stu robotników na budowę innego odcinka tej samej drogi.

Trudno opisać rozdzierające sceny, jakie rozgrywały się, gdy matki zegnały swoje dzieci wybrane do robót drogowych. Myśl, że oto oddają je polskim mordercom doprowadzała je do rozpacz. Judenrat był obłożony przez rodziców błagających o litość i uwolnienie ich dzieci od okropnego losu. Niestety – musieliśmy dostarczyć stu robotników na czas.

---

<sup>9</sup>

Prawdopodobnie błąd tłumacza lub autora

<sup>10</sup>

Jw

Wydano kolejny rozkaz dostarczenia jeszcze stu robotników do cieszącego się złą sławą obozu karnego prowadzonego przez firmę "Kirchhof". Ta firma budowała drogi wokół Białegostoku posługując się skazanymi za przestępstwa kryminalne, także Niemcami. Praca była brudna i ciężka, a nadzorowały ją ciężko uzbrojone oddziały niemieckie. Robiliśmy, co się dało, by ulżyć tym, którzy zostali wyznaczeni: wysyłaliśmy im jedzenie, ubrania i trochę grosza. Zdołaliśmy wymienić co bardziej wyczerpanych po miesiącu na innych robotników. Nie było to łatwe. Musieliśmy zaoszczędzić sporo pieniędzy, by zapłacić strażnikom za ich pobłażliwość.

Firma Schwepper und Buchla także zażądała stu ludzi do pracy w lesie. Stopniowo traciliśmy najlepszych i najukochańszych ludzi, jakich mieliśmy. Byli poddani katuszom, bici, głodowali. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to wysłać im jedzenie i odzież i przekupywać nadzorców, by okazali im miłosierdzie i nie bili ich.

Często udawało się nam uwolnić poszczególnych robotników, ale nie mogliśmy uwolnić ich wszystkich.

Nagle dowiedzieliśmy się, że za tydzień mają dołączyć do nas mieszkańcy pobliskiego Nowego Dworu. Natychmiast wysłaliśmy w sekrecie pieszego posłańca, żeby zawiadomił ludzi w Nowym Dworze o rozporządzeniu i kazał się im przygotować na najgorsze. Żydzi w Nowym Dworze nie do końca ufali prawdziwości informacji przekazanej przez posłańca. Niektórzy mieli wątpliwości, ale na wszelki wypadek zaczęli się pakować w oczekiwaniu na rozkaz.

*Judenrat* w Nowym Dworze przekonywał Żydów nowodworskich, że Suchowolanie zwykle wiedzą, co w trawie piszczy. Tak jak przewidywaliśmy, w wyznaczonym dniu Żydzi w Nowym Dworze otrzymali rozkaz udania się do Suchowoli. W Nowym Dworze wybuchła panika wprost nie do opisanego. Żydom dano dwie godziny na opuszczenie domów. Dzięki naszemu ostrzeżeniu, niektórzy mieli więcej czasu by się przygotować i spakować rzeczy do zabrania. Inni musieli zostawić wszystko Niemcom i Polakom.

Po przybyciu do Suchowoli spotkał ich ów zbrodniczy landrat (administrator okręgu), który przybył z Sokółki wraz z policją i kilkoma Niemkami, które przyjechały zobaczyć ten „spektakl”. Kiedy Żydzi zbliżali się do bramy getta, na dany znak Niemcy zaczęli bić Żydów, młodych i starych, kobiety i dzieci. Wydzierali tobołki z rąk Żydów i rozrzucali je po ulicy. Połała się niewinna krew. Niemki stały i patrzyły śmiejąc się, ubawione krwawymi scenami. Pstrykały zdjęcia tych scen, barbarzyńskiego traktowania niewinnych kobiet i dzieci. Miały to być zdjęcia dokumentujące ich zwycięstwo nad bezbronnymi ludźmi.

Przybycie Żydów z Nowego Dworu narobiło sporo kłopotów. Nie było przestrzeni życiowej, na jedną osobę przypadało zaledwie 0.8 metra kwadratowego. Brak żywności był poważny, a inne wydatki znacznie wzrosły. Nie poddaliśmy się jednak w naszej walce o przetrwanie. Wprowadziliśmy nową metodę zdobywania żywności. Dostaliśmy pozwolenie kupowania ziemniaków i innych warzyw na targu. Żydom wolno było zrobić zakupy raz w tygodniu, w targowe czwartki, między 2 a 4 po południu, kiedy nie-Żydzi opuszczali już targowicę.

Po paru tygodniach przybysze stopili się z naszą społecznością dzieląc nasz los nie do pozazdroszczenia. Codziennie nasi robotnicy opuszczali getto idąc do pracy przy rozbiórce żydowskich domów, budowie dróg i prac ziemnych na ulicach miasteczka. Wraz ze wzrostem liczby mieszkańców getta wzrastała też śmiertelność. Istniał zakaz zabierania zwłok z getta.

Nie mieliśmy wyboru – musieliśmy zorganizować cmentarzyk w ogrodzie krawca Zudki Cyrkesa, dokąd znosiliśmy zmarłych na wieczny spoczynek. Z braku miejsca mogiły musiały być bardzo małe i ściśnięte.

Duży cmentarz żydowski z tysiącami grobów, w których spoczywali nasi ojcowie i dziadowie, cmentarz, na którym spoczywali nasi rabini i mędracy, a także zwykli pobożni Żydzi, został kompletnie zdewastowany. Celowe zniszczenie cmentarza miejskiego sprofanowało pamięć naszych przywódców, pamięć Żydów, których całe życie upływało w domach nauki i modlitwy, Żydów, którzy tłumnie wypełniali te domy w święta, Żydów, którzy ze łzami modlili się o lepsze życie dla siebie i swoich braci. Hitlerowscy mordercy nie zostawili po nich wszystkich śladu. Groby zostały zrównane z ziemią, zasypane i zaorane. Nagrobki potłuczono i użyto do wykładania ulic. Niemcy rozebrali także kamienne ogrodzenie, aby nikt nie wiedział o istnieniu cmentarza.

W tym czasie na getto spadł dopust wizytacji rozmaitych nazistowskich komisji. Rozmaici ważni naziści przyjeżdżali do getta, by obserwować jego życie w tak trudnych warunkach. Zwykle informowano nas o wizytach VIP-ów z wyprzedzeniem i mieliśmy gościom zaprezentować akceptowalne warunki życia. Komisarz groził nam konsekwencjami, jeśli wizyta wypadnie niezadowolająco. Zwykle komisja wizytowała szpital prowadzony przez *Judenrat*, piekarnię, kuźnię, szwalnię, gabinet dentystyczny, łaźnię, gliniankę, cmentarz, aptekę, mleczarnię, kuchnię dla ubogich i inne urządzenia getta. Z zainteresowaniem obserwowano małe ogródki uprawiane wokół domostw. Na zakończenie wyrażano wielkie zadowolenie z wyników inspekcji. Wizytatorzy byli zaskoczeni dokonaniem więźniów getta i podziwiali kreatywność i inwencję mieszkańców. Wydaje się, że było to w ich opinii getto modelowe.

Od czasu do czasu komisarz wizytował getto po pijanemu. Zaczynał od policji żydowskiej bijąc niemiłosiernie młodych ludzi. Potem z pistoletem w rękę zaczynał swój krwawy obchód strzelając gdzie popadło. W takich chwilach getto sprawiało wrażenie wymarłego. Nikt nie ośmielał się wyjść na ulicę. Ci, których dosięgły zabłąkane kule zalewali się krwią. Szał strzelania nasilał się zwłaszcza w miarę, jak komisarz zbliżał się do mojego domu. Stawałem wtedy w drzwiach. Miałem do niego dziwne szczęście. Szanował mnie, nie wiedzieć dlaczego. Może cenił moją odwagę? Wiele razy udało mi się powstrzymać jego atak strzelania na chybił trafił i odwrócić zagrożenie wiszące nad Żydami. Miał on także złe mniemanie o polskiej policji. Wychodząc z getta około 2 po południu bił po twarzach niektórych policjantów.

Straszne wydarzenie, w wyniku którego stracił życie młody człowiek Icchak Polak, wywołał szok w getcie. Wydarzyło się to w czasie dostawy drewna na opał do piekarni. Icchak Polak chciał zobaczyć, czy wozy wiozące towary przybyły i podszedł do granicy getta. Wystawił głowę za ogrodzenie. Zauważył go polski policjant Zygmunt Zieniuk (syn urzędnika pocztowego Antoniego), który wypalił w jego kierunku bez ostrzeżenia. Trafił go prosto w serce. Polak osierocił czworo małych dzieci. Powszechne oburzenie potęgował fakt, że Zieniuk mieszkał w Suchowoli i był wszystkim dobrze znany. Ciało natychmiast zabrano do kostnicy przy żydowskim szpitaliku.

*Judenrat* postanowił zorganizować demonstracyjny pogrzeb. Miał się on zacząć następnego dnia. Zamknięto wszystkie instytucje i interesy w getcie. Starzy i młodzi ludzie zebrali się na ulicy. Nikt nie stał z boku. Ciało poniesiono aż na cmentarz. Żałobnicy spazmatycznie szlochali. Nikt nie mógł się wstrzymać od płaczu. Nasz szanowany rabin Cwi Kalir wygłosił

mowę pogrzebową nad otwartym grobem pobudzając nas do kolejnej fali wściekłości i żalu. Lamentował nad losem bezbronnych Żydów. Po tej mowie nastąpiła druga – Mojsze Futiała przemawiającego w imieniu *Judenratu*. Kantor z Dąbrowy odśpiewał modlitwę za zmarłych i przeczytał Psalm Dawida.

Pytaliśmy się komisarza o pozwolenie na naszą uroczystość, ale nie miał obiekcji. Żandarmi niemieccy ze swoim komendantem Hansem Hurbanem, z komisarzem getta i wszystkimi niemieckimi i polskimi współpracownikami zebrali się na zewnątrz getta. Przyglądali się wspaniałemu pogrzebowi zamordowanego Żyda. Po ceremonii ludzie rozeszli się z sercami pełnymi bólu i wrócili do swych nędznych siedzib.

Następnego dnia komisarz wyraził swoje uczucia wywołane pogrzebem odprawionym z taką pompą i szacunkiem dla zmarłego, na jaki nie każdy zasługuje. Czy on sam umierając honorową śmiercią, miałby pogrzeb podobny do tego, jaki zgotowano Żydowi Icchakowi Polakowi? Ten hołd ze strony komisarza były dla nas pewną pociechą.

Policjant-morderca stał natomiast na swoim posterunku jak zwykle, jakby nic się nie wydarzyło. Nie ukarano go za zabicie Żyda. Przeciwnie – im więcej zabitych Żydów – tym większym szacunkiem cieszył się policjant.

## **W obozie koncentracyjnym w Kiełbasinie koło Grodna**

Była jesień, minęło kilka tygodni. *Judenrat* budował dużą piwnicę w ogrodzie Majera Kremera, by zebrać zapas ziemniaków na nadchodzącą zimę. Kiedy piwnica była już gotowa i zaczęliśmy zbierać w niej ziemniaki, nagle u bram do getta pojawili się żandarmi i oddziały gestapo. Był wczesny ranek 3 listopada 1942 roku. Bandyci nadciągnęli pod dowództwem oficera gestapo z Białegostoku. Oficer i kilku żołnierzy weszli do getta, rozkazali przynieść duże kłódki i w ciągu kilku minut zamknęli wejścia do bram getta. Rozkazali *Judenratowi* zebrać się w ciągu trzech minut w budynku rady. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Krążyły różne pogłoski. Jedni uważali, że mają zostać wymordowani wszyscy Żydzi. Inni twierdzili, że ma nastąpić rewizja w poszukiwaniu broni. Jeszcze inni uważali, że władze będą szukały Żydów bez ważnych dokumentów. Ale tak naprawdę, nikt nie wiedział, o co tak naprawdę chodzi. W wyznaczonym czasie *Judenrat* zebrał się, by wysłuchać rozkazów władz. Od tego dnia Gestapo miało przejąć władzę nad gettem. Wprowadzono nowe porządki. W ciągu kilku dni wszystkie ulice miały być wybrukowane<sup>11</sup> i czyste, jak nigdy dotąd. Decyzja była dla nas niezrozumiała i szokująca. Tego samego wieczora zjawił się komisarz getta wraz z oficerem gestapo i zażądali oddania całej własności *Judenratu*, wszystkiego, co posiadaliśmy. Kiedy nadarzyła się okazja, zaoferowałem oficerowi dwa złote zegarki. Przyjął podarunek i w zamian wytłumaczył nam nieco sens nowych rozporządzeń. Oficer wyjaśnił, że wszyscy Żydzi z getta mają zostać przetransportowani do obozu „Kiełbasin” koło Grodna. Stamtąd mieliśmy być rozesłani do różnych obozów pracy. Oficer pozwolił nam także ostrzec ludzi o czekającym ich wygnaniu,

Żandarmi z ciężkimi karabinami maszynowymi otoczyli getto. Polska policja i cywilni pracownicy administracji pilnowali, by nikt go nie opuścił. Rzeczywiście bardzo trudno było się wydostać. Przez dwa dni i dwie noce siedzieliśmy zamknięci.

---

<sup>11</sup> Błąd tłumaczenia?



Wieść o przesiedleniu rozniosła się po getcie lotem błyskawicy. Ludność oddychała z ulgą: nie będzie rzezi, jak w innych gettach.

Zaczęły się przygotowania do drogi. Pozwalano zabrać tylko mały pakunek z jedzeniem na dwa dni. Wymarsz miał nastąpić 5 listopada 1942.

Tymczasem władze spędziły jeszcze do getta ludzi z pobliskiego Korycina. Wszyscy byli pobici przez chuliganów i żandarmów, którzy pędzili ich 14 kilometrów pieszo. Nie mieli ze sobą nic, wszystko zabrano im po drodze. Wyczerpani i pokrwawieni dotarli do getta, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni. Podzieliliśmy się z nimi wiktem i opierunkiem.

Raz w środku nocy do getta wjechało kilka ciężarówek pełnych żandarmów. Snopy światła z reflektorów przeszywały ciemność wąskich uliczek. Żydom kazano wyjść z ich domów; kobietom z dziećmi na rękach, niedołężnym mężczyznom, słabym i zmęczonym, odartym z ludzkiej godności, zdezorientowanym. Wszystkich popędzono na plac zbiórki przed wielką synagogą.

Żandarmi uzbrojeni w gotową do strzału broń pchali Żydów do przodu, waląc ich kolbami. Dzieci płakały rozdzierająco z zimna. W tym czasie w getcie przebywali Żydzi z wielu małych miasteczek i wsi wokół Suchowoli, obok mieszkańców Suchowoli byli tu ludzie z Dąbrowy, Nowego Dworu, Korycina i Augustowa. Było też wielu uchodźców z innych miejscowości.

Zebranych Żydów zmuszono, by ładowali się na czekające przed gettem furmanki, które miały ich zabrać na nowe miejsce. Około 7 rano nadszedł rozkaz do wymarszu. Na zewnątrz czekali polscy bandyci uzbrojeni w broń palną i pręty, gotowi do atakowania odjeżdżających Żydów. Polska policja nie miała dość bicia i odzierania Żydów z ich własności, nie wystarczały im pogromy towarzyszące przenosinom do getta, nigdy nie mieli dość. Ich bestialskie zachowanie pozostanie wieczną hańbą polskiego narodu.

Około 850 wozów podzielono na kolumny. Każda kolumna składała się z 50 furmanek. Pilnowali jej żandarmi. Drogę patrolowało gestapo. Wozy jechały środkiem drogi, by można było zauważyć jakikolwiek zamiar ucieczki. W ten sposób, kolumna za kolumną, ciągnący się kilometrami pochód posuwał się drogą do Grodna. Bez postoju furmanki zbliżały się w zapadającym zmroku do Kiełbasina. Do obozu dotarliśmy około 22.00. Paliły się światła uliczne gdy przekraczaliśmy dobrze pilnowane bramy obozu. Żandarmi pośpiesznie opróżniali furmanki, które inną bramą opuszczały obóz. Pod gołym niebem leżeli na ulicach ludzie – kobiety, mężczyźni i dzieci, patrzący na przybyszów. Spędziliśmy z nimi noc.

*Następuje opis życia obozu w Kiełbasie: topografii i wyglądu obozu, nieludzkich warunków w nim panujących, głodu, a przede wszystkim sadyzmu komendanta obozu Rinzlera. Autor opisuje popełniane przez niego bez powodu lub pod ładą pretekstem zbrodnie. Opisuje również okrucieństwo innych Niemców i pierwsze wywózki do Oświęcimia i Treblinki.*

## Zagłada grodzieńskiego getta

Nagle w obozie zjawiała się komisja pod komendą sturmführera Scotta i wydała rozkaz, by pozostali jeszcze Żydzi uprzątnęli obóz. Wszystko, co pozostało po odejściu ostatniego transportu: sprzęty kuchenne, poduszki, pledy, ubrania, miały być zebrane na jeden duży stos. Następnie Żydom rozkazano uformować kolumnę po sześciu ludzi w szeregu i przemaszerować przed komendantem. Policzył wszystkich i nakazał, by zostali przesiedleni do getta w Grodnie. Nowe rozkazy nie stanowiły dla nas niczego pocieszającego, ale mieliśmy nadzieję, że w nowym miejscu wydarzy się cud. Może mogliśmy jednak uciec z objąć śmierci.

Wyruszyliśmy do Grodna około 22 grudnia 1942 roku. Zastaliśmy tam bardzo niewielu ludzi. Getto było znacznie zmniejszone. *Judenrat* dysponował bardzo niewielu budynkami, w których mógł nas pomieścić. Z wielkim trudem znaleziono jakieś nieogrzewane, zimne budynki, które miały stać się naszą kwaterą. Zimno było nie do wytrzymania. Wyczerpani Żydzi byli spuchnięci z głodu. Nie mieliśmy pieniędzy, by kupić jedzenie, bo wszystko, co posiadaliśmy musieliśmy zostawić gestapowcom przy wymarszu. Ludzie stopniowo wymierali. Zdarzało się, że całe rodziny umierały w ciągu kilku dni. Znana rodzina Judela Krauzela: matka, ojciec i córka, wszyscy poumierali w przeciągu tygodnia. Trzech członków rodziny Wolfa Studenckiego zmarło jednego dnia. Całe rodziny marły z głodu. Całymi tygodniami nasz los, całkowicie beznadziejny, był w rękach Boga.

Pewnej nocy, około 7 wieczorem, nagle oświetlono ulice getta. Był to sygnał, że wkrótce rozpocznie się selekcja do nowego transportu do Treblinki lub Oświęcimia. Na ulicach zapanowała panika. Ludzie biegali tam i powrotem szukając jakiejś kryjówki. My z bratem przypadkiem byliśmy akurat na ulicy Pereca. Brat poprosił mnie, żebym zamknął go w pustym sklepie, miał nadzieję, że tam się ukryje. Dochodząc do ulicy Zamkowej, gdzie mieszkał mój brat, usłyszeliśmy odgłosy wścieklej strzelaniny. Zaraz na ulicy pojawili się ranni. Padłem na ziemię i na brzuchu poczołgałem się do żydowskiego domu, w którym przeczekałem noc,. Rankiem, gdy strzelanina ucichła, pospieszyłam do domu przy ulicy Wileńskiej, gdzie wynajmowałem dla swojej rodziny pokój od pani Szpindler.

Kiedy tam dotarłem, było już po nich. Mordercy zabrali tych, których najbardziej kochałem. Nie wiedziałem, co stało się z moim bratem. „Akcja” była zakończona. Ulice zasłane były trupami. Nigdy nie zapomnę widoku matki okutanej kocem, tulącej dwoje dzieci na ulicy Szmulera, przy szkole. Wszyscy nie żyli.

Cieniutka warstwa śniegu pokrywała martwe ciała, jakby kryjąc ślady mordu brukającego świat Boży. Wiele innych ulic wyglądało podobnie. Ciała leżały porozrzucane na ulicach przez kilka dni, aż do czasu, gdy *Judenrat* nakazał zebranie ich na ulicy Szmulera. Nikt się nie spieszył z pochówkiem. Krewni zabitych zostali najpewniej złapani do ostatniego transportu do Auschwitz.

W ciągu kilku dni śnieg okrył całe miasto białą kołdrą. Tu i ówdzie sterczały górki śniegu kryjące martwe ciała. Ciepłe słońce stopiło warstwę śniegu i odkryło twarze umarłych ku uciechu kręcących się wokół wron wydziubujących kawałki ludzkiego mięsa. Wkrótce znalazło się dość ochotników, by pochować zmarłe ofiary.

Widziałem inną scenę w domu znanej lekarki, doktor Gerszoni. Leżała martwa w łóżku. Na fotelu przy łóżku leżały puste ampułki i strzykawka. Najwidoczniej stara kobieta umknęła mordercom popełniając wcześniej samobójstwo. Obok łóżka siedział czarno-biały kotek i pilnował ciała. Nie mógł opuścić swojej zmarłej pani. Był jedyną żywą istotą, która została, by jej pilnować po tym, jak wszyscy krewni i przyjaciele zostali uprowadzeni przez zabójców.

Mój brat i jego rodzina zdołali umknąć w czasie pierwszej „Akcji”. Ukrył się wraz z sześciuset innymi Żydami w Wielkiej Synagodze. Jakoś nie zauważyli go żandarmi przeszukujący synagogę – leżał pod przykryciem kotar i ubrań. Mój brat i jego rodzina pozostali w getcie grodzieńskim do samego końca.

Gdy straciłem rodzinę, postanowiłem uciec. Bardzo niewielu ludzi pozostało jeszcze w okrojonym getcie. Opuszczanie getta było niebezpieczne. Złapany uciekinier był odprowadzany do getta i rozstrzeliwany na placu. Wielu spośród tych, którzy mieli nadzieję na ocalenie, znalazło w ten sposób swoją śmierć. Plan ucieczki musiał być rozsądny i przemyślany. Mój przyjaciel Mojsze Tiktin i ja postanowiliśmy podjąć ryzyko razem.

Jako miejsce ucieczki wybraliśmy podwórze *Judenratu*. Gestapo używało go na stajnie dla swoich koni. W tylnej ścianie znajdowało się małe okienko wyzierające na ulicę. W nocy przyszlismy do stajni i ostrożnie wybiliśmy okno. Przecisnęliśmy się przez okienko wychodząc do ogrodu kościoła garnizonowego przy ulicy Zamkowej. Przeszlismy most na Niemnie, minęliśmy strażników i powędrowaliśmy ku naszemu miasteczku – do Suchowoli.

Przejsie 55 kilometrów do Suchowoli zajęło nam całą noc. Noc była zimna, a my nie mieliśmy ciepłych ubrań. W getcie było pełno pozostawionych ciepłych ubrań, ale nie było nam to w głowie, gdy uciekaliśmy. Uważaliśmy, że bez ciężkiej garderoby będzie nam łatwiej iść, a gdy trzeba – biec.

## **W wioskach i kopcach wokół Suchowoli**

Idąc nocą spotkaliśmy wiele samochodów, ale udało się nam nie zwrócić ich uwagi dzięki temu, że zawijaliśmy się w białe prześcieradła i kładliśmy się w śniegu. Dotarliśmy do Suchowoli około 5 nad ranem. Przeszlismy mały zagajnik pod miasteczkiem, potem rzeczkę i cichutko weszliśmy do domu naszego dobrego przyjaciela, chrześcijanina Gryszkiewicza. Przed wojną nieźle zarabiał pracując ze mną i pomagałem mu wielokrotnie. Było jeszcze ciemno, gdy zastukałem do drzwi. Odezwała się jego matka, którą także dobrze znałem. Domyślała się po co przyszlismy i drżąc ze strachu pobiegła po syna. Gryszkiewicz otworzył mi drzwi i wpuścił mnie do środka. Pytałem, jak wygląda sytuacja w miasteczku i czy możemy u niego zostać. Natychmiast wpadł w panikę, złapał się rękami za głowę krzycząc: „Co ty mówisz, nie dalej jak dziś Niemcy szukali Żydów! Musisz natychmiast stąd iść. Jeśli któryś z sąsiadów cię zauważy, wszyscy będziemy zagrożeni, zgubieni, zabiją nas wszystkich.”

To niechętnie przyjęcie sprawiło, że postanowiliśmy uciekać w pośpiechu. Przeszlismy rzeczkę i poszliśmy do lasu.

Byliśmy zmęczeni i głodni, ale zdecydowaliśmy się iść w głąb lasu. Zrobiliśmy sobie z gałęzi sosnowych rodzaj pośłania i położyliśmy się, by odpocząć. Przespaliliśmy cały ten przeraźliwie zimny dzień. Był luty 1943 roku. Obudziliśmy się pod wieczór głodni i zaraz zaczęliśmy myśleć, jakby tu dostać trochę jedzenia.

Byliśmy wykończeni i ledwie mogliśmy się ruszać. Podeszliśmy do chat kolonisty i poprosiliśmy o chleb, ale nic nam nie dali, choć chcieliśmy zapłacić.

Nie mieliśmy wyboru, trzeba było wrócić na ulicę Olszańską. Tam chłop o nazwisku Matyskiel, którego znałem, dał nam pół kilo chleba. Byliśmy mu strasznie wdzięczni, ale kazał nam natychmiast zniknąć, bo bał się, że zobaczy nas któryś z sąsiadów. Zapytaliśmy się, czy możemy zostać na noc, ale stanowczo odmówił. Bez jego wiedzy zakradliśmy się do stajni, na ruszt z sianem i zostaliśmy tam na noc. Rano zjedliśmy te pół kilograma chleba i czekaliśmy do zapadnięcia zmroku. Około 8 wieczorem wyszliśmy z ukrycia i pod osłoną nocy poszliśmy do gospodarza prosząc o więcej chleba. Strasznie się zdenerwował, kiedy zdał sobie sprawę, że siedzieliśmy w jego zabudowaniach bez pozwolenia. Nie dał nam chleba i zagroził, że, jeżeli natychmiast nie pójdziemy sobie, wezwie żandarmów.

Nie było wyboru. Tysiące myśli kłębiły się w naszych głowach. Co robić? Dokąd iść? Zaprzyjaźnieni chłopci, którym okazywałem wiele dobroci teraz nie pozwalali nam zostać na noc, ani dać trochę chleba.

Opuszczaliśmy miasteczko załamani i zdenerwowani. Ale postanowiliśmy spróbować szczęścia u jeszcze jednego gospodarza przy ulicy Białostockiej. Tego samego wieczora poszliśmy tam opłotkami. Wtem spotkaliśmy syna Gaworeckiego, którego dobrze znałem. Poznał mnie i powiedział, że cieszy się ze spotkania. „Jak się Pan miewa, panie Lazar? Dokąd Pan idzie?” Najpierw poprosiłem go o chleb, bo byliśmy głodni, a potem powiedziałem mu, dokąd idziemy. Ale, że nigdy nie budził mojego zaufania, pokazałem mu, że idziemy w przeciwnym kierunku. Cokolwiek miałoby się zdarzyć, lepiej, by pozostawał w błędzie. Nie dostaliśmy od niego żadnego chleba, szybko się pożegnaliśmy i pośpieszyliśmy do innego chrześcijanina. Był to szanowany były burmistrz Karbowski. Dał nam tyle chleba, ile mogliśmy zjeść i dodał jeszcze do tego gorącą kawę. Ogromnie nam smakowały. Jednakże nie zgodził się, byśmy zostali na noc. Wskazał nam za to miejsce, gdzie mogliśmy się przespać.

Było stamtąd blisko do lasu. Stały tam stare szopy porzucone przez swoich właścicieli. Znaleźliśmy tam pełno słomy i wkrótce zasnęliśmy. Następnego wieczora Karbowski przyniósł nam jeszcze chleba i kawy. Powiedział też, że syn Gaworeckiego zawiadomił o naszym spotkaniu żandarmów. Zarządzono poszukiwania, ale nie przeszukano szop poza wsią. A zatem ocaleliśmy cudem. Dalszy pobyt stawał się groźny.

Następnego dnia Karbowski przyniósł więcej jedzenia i błagał nas, byśmy jeszcze tej nocy sobie poszli. Wyszliśmy z wioski około 11-tej w nocy korzystając z gęstej mgły, która spowiła miejscowość. Targały mną wątpliwości. Nie można się było ukryć. Ale zdecydowaliśmy się na jeszcze jedną próbę. Około siedmiu kilometrów od Suchowoli mieszkał we wsi Jatwież chłop, którego znałem sprzed wojny. Może pozwoli nam zostać na noc? Przyszliśmy do wioski, w której jeszcze nigdy nie byłem i nie wiedziałem, w którym domu mieszka znajomy gospodarz. Była północ, gdy nagle wpadliśmy na grupę cywilów, którzy pilnowali wioski. Zagadałem do nich po niemiecku, czym przestraszyłem ich. Pomyśleli, że jestem z tajnej niemieckiej policji. Zapytali mojego towarzysza, który mówił łamaną polszczyzną, czego chce. Pokazali chatę sołtysa, którego akurat znałem i w pośpiechu odeszli. Chętnie się nas pozbyli. Wkrótce dotarliśmy do domu sołtysa i zastukaliśmy do drzwi. Wpuścił nas, dał nam jeść, ale nie pozwolił nam się zatrzymać. Bał się ukrywać Żydów w domu. Od sołtysa dowiedziałem się o adres gospodarza, Turela, którego od początku szukałem. Żeby pomóc nam dotrzeć do Turela, wysłał z nami młodego chłopca jako

przewodnika,. Miał nam pokazać drogę przez pola nad Brzozówką, na granicy powiatów sokólskiego i białostockiego. Wszystko to działo się w środku nocy.

Przez tylne drzwi weszliśmy do domu rolnika. Stał z dala od innych domów w wiosce. Nie pozwolił nam zostać na noc. Rozmawialiśmy godzinami. Błagałem go, przypominałem różne przysługi, jakie mu oddałem, nieoprocentowane pożyczki i naszą przyjaźń, którą tak sobie ceniliśmy. Nic nie mogło zmienić jego decyzji. Nagle wstał i zniknął za drzwiami sypialni, gdzie spała jego żona. Słyszeliśmy odgłosy dyskusji. Po długich naradach pojawił się znowu i potwierdził, że nie możemy zostać. Miał nam dać jedzenia na drogę, ale nie wolno nam było zostać. Powiedziałem mu wtedy, że nie mamy dokąd iść i zostaniemy tam bez względu na to, czy się zgodzi, czy nie. Nie wzięliśmy ofiarowywanej nam żywności i wyszliśmy.

Noc była zimna i mglista. Wściekle ujadanie psów przerywało nocną ciszę. Stodoła stała około stu metrów dalej. Podkradliśmy się tam cicho, otworzyliśmy drzwi i weszliśmy. Wdrapaliśmy się na szczyt stosu słomy, wykopaliśmy sporą jamę, wleźliśmy do niej i przykryliśmy się słomą.

Ledwie zmrużyliśmy oczy, gdy usłyszeliśmy, jak ktoś cicho wołał: „Chłopaki! posłuchajcie!” Natychmiast poznaliśmy głos naszego rolnika i wyczołgaliśmy się z kryjówki. Powiedział, że ma dobrego przyjaciela, który chce nas schować, ale, ponieważ jest biedakiem, chciałby, żebyśmy mu zapłacili. Podskoczyliśmy z radości. Co za szczęście! Nareszcie znaleźliśmy sobie miejsce!

Chłop dał nam chleba, smalcu, wiązkę słomy i poradził, żebyśmy spędzili noc w kopcu na ziemniaki na polu.

Zrobiliśmy sobie ze słomy poślanie w kopcu, przykryliśmy się pozostałą słomą i zasnęliśmy. Kiedy zaczęło świtać zdjęliśmy słomę, by wyglądać na świat niecierpliwie oczekując na nadejście chłopca.

Koło południa pojawił się inny rolnik i wczołgał się do naszego kopca. Chociaż się go nie baliśmy, byliśmy skrupowani. Wypytywał nas, jak znaleźliśmy się na jego kartoflisku. W rozmowie dowiedzieliśmy się od niego, że jest właścicielem ziemi dokoła i że to właśnie on był człowiekiem poleconym przez Turela.

Zaczął nam dostarczać jedzenie raz na dobę, zawsze około dziesiątej wieczorem. Po paru dniach ujawnił, że jeszcze dwóch młodych ludzi z Suchowoli ukrywa się w jego zagrodzie – Lejzorg Marienberg i Itsze Berl Fabersztajn. Uciekli z getta w Grodnie w noc pierwszej „Akcji”. Powiedział nam o tym.

Następnej nocy przyszli do naszego kopca. Od tej pory zamieszkaliśmy w kopcu wszyscy czterej. W rzeczywistości było nam okropnie ciasno, bo kopiec miał tylko z 1.5 metra kwadratowego. Nie mogliśmy się położyć, więc spaliśmy na siedząco. Płaciliśmy chłopu za wydatki na jedzenie i problemy, jakie miał z naszego powodu. Koszule i bieliznę zmienialiśmy co 6-7 tygodni. Brakowało nam też wody do picia. Nie można było nam niczego przynosić w ciągu dnia z obawy, że inni chłopci zobaczą nas. W dodatku musiał ukrywać swoje działania przed własną żoną, bo ta nie była zbyt pomocna. Jedzenie, jakie nam przynosił było dostarczane przez Turela. Byliśmy zatem uwięzieni w kopcu w ciągu zimowych miesięcy żyjąc nadzieją, że pewnego dnia wróg zostanie pokonany i hitlerowscy bandyci zostaną zniszczeni.

W końcu nadeszła wiosna. Słońce każdego dnia wstawało nad wioską. Bydło i owce wyszły na pastwisko, ptaki słodko śpiewały wśród drzew, cały świat był wolny. Tylko my siedzieliśmy uwięzieni w kopcu jak przestępcy, bez promieni słonecznych, bez możliwości odetchnięcia świeżym wiosennym powietrzem.

Na początku kwietnia nasza sytuacja pogorszyła się. Chłopi zaczęli spędzać na polach długie godziny. Nasz dobroczyńca bał się, że inni chłopi zauważą, jak niesie nam nocą jedzenie. Jego podejrzliwa żona obserwowała go pilnie. Nie podobały się jej te regularne nocne wyjścia, myślała, że chodzi na schadzki z jakimiś dziewczętami z wioski. Zamieniała jego życie w piekło. Poszła na skargę do proboszcza, że mąż zostawia ją samą z trojgiem dzieci na całe godziny i zdradza ją z innymi kobietami. Jej podejrzliwość wzrosła jeszcze, gdy sąsiadka powiedziała jej, że widuje jej męża co noc z jakimiś węzełkami pod pachą. Sytuacja naszego dobrodziejstwa stawała się niewesoła. Proboszcz wezwał go do dzwonnicy i kazał mu poprawić relacje z żoną. Ale mężczyzna nie puścił pary z ust. Jakże mógłby ujawnić, że ukrywa Żydów. Zostałby kamieniowany. Okolica trzęsła się od pogłosek o Żydach ukrywających się w Jatwiezi, raz wezwano żandarmerię, która przeszukała całą okolicę, ale szczęśliwie nikogo nie znaleziono.

Podejrzenia i kolejne przeszukania sprawiły, że trudno było się nam dalej ukrywać w schowku. Po długich konsultacjach pomiędzy naszymi dobrodziejami zdecydowano, że mamy przenieść się z naszego kopca do zagrody jego kuzyna, Adolfa Kiszły. Nowy „obrońca” był stolarzem i mieszkał z żoną, Hanką, córką Manią i synkiem Heńkiem, który miał koło sześciu lat. Adolf Kiszło - 48-letni mężczyzna z przyjaznym uśmiechem na twarzy był bardzo biedny. Nie stać go było nawet na zapłacenie podatków. Jego gospodarstwo składało się z małego poletka o powierzchni 4 hektarów, małego słabowitego konia, krowy, cielaka, kilku kur i paru prosiąt.

W środku lodowatej nocy Adolf Kiszło przeprowadził nas z kopca do kamiennej piwnicy znajdującej się pod jego domem. Pierwszej nocy nie zmrzyliśmy oka z zimna i strachu, że zauważył nas któryś z sąsiadów. Spędziliśmy dwie noce w piwnicy, a potem przenieśliśmy się do jednej ze stodoł należących do Kiszły. Na ruszcie stodoły zrobiliśmy sobie coś w rodzaju mieszkania 2 metry długiego i 1.5 metra szerokiego. Chłop przynosił nam jedzenie raz na dobę, zawsze o tej samej porze, kiedy karmił świnię i konie. Musiał bardzo uważać, by nie wzbudzić podejrzeń wśród sąsiadów.

Przez pewien czas nie mieliśmy żadnych kłopotów. Sołtys tej wsi, który miał dom koło naszej kryjówki przystał do podziemia działającego w okolicznych lasach. Spodziewał się zrzutu broni dla partyzantów i, żeby wypatrzeć samolot, wynajął miejscowego chłopca, który miał obserwować niebo. Jako nagrodę, obiecał mu krowę. Sołtys nie dotrzymał obietnicy i strażnik rozniósł tajemnicę po wsi, co spowodowało szybką reakcję żandarmerii. Żandarmi szybko przybyli do wsi i bez powodzenia przeszukiwali domy w wiosce. Sołtys zdołał uciec. Ogarnęła nas panika, spodziewaliśmy się, że żandarmi odkryją naszą kryjówkę. Ale szczęśliwie przez myśl im nie przeszło, że Żydzi mogliby się ukrywać w tak niebezpiecznym miejscu. Jeszcze raz poszczęściło się nam.

Mijały miesiące. Chłopi pracowali na polach. Ciepła pogoda napełniła okolicę życiem, zamieniła ją w fale seledynu. Ptaki śpiewały swobodnie, a my byliśmy zamknięci w ciemnościach stodoły nie widząc słonecznego światła. Zupełnie zapomnieliśmy, że z początkiem wiosny zaczną się święta. Ale Turel pamiętał o świecie Purym i przyniósł nam chleba i ciasta. Jedzenie przypomniało nam widoki z niedalekiej przeszłości. Purym w

naszym miasteczku. To było święto obchodzone we wszystkich żydowskich domach. Zapraszaliśmy gości a na stołach ustawiano smakołyki pachnące świeżo upieczonym ciastem Hamantaschen. Przy stole siedziała rodzina świętując i promieniejąc szczęściem.

Żydzi przetrwali. Obchodzili pamiątkę zwycięstwa nad wrogiem Żydów, Hammanem, ale teraz... kiedy wreszcie pokonany zostanie morderca Hitler? Teraz wszystko było stracone: moja kochana mamusia i tatuś, moja żona, moje dzieci. Najlepsi i najdrożsi. Miałem przed oczami moje dziecko i jego matkę, wydawało mi się, że wyciągają do mnie ręce z pieców Auschwitz. Moje serce wypełniał straszny żal. Trudno, bardzo trudno opisać wszystkie te uczucia i myśli. Nie zrozumie ich nikt poza tymi, którzy przeszli tę samą drogę i przeżyli.

Ciągle oczekiwaliśmy szybkiej porażki nazistów. Gospodarz co piątek dostarczał nam z Suchowoli gazetę. Dowiedzieliśmy się z niej, że Niemcy cofają się na wszystkich frontach. Mieliśmy nadzieję, że z końcem lata opuścimy swoje więzienie i będziemy wolni. Ta mała nadzieja dawała nam odwagę i umacniała wolę przetrwania.

Adolf Kiszło musiał płacić władzy podatki zbożem, mięsem i pieniędzmi. W miarę, jak zbliżał się dzień spłaty, stawał się coraz bardziej zdenerwowany nie wiedząc, czy da radę wywiązać się ze swoich zobowiązań. W razie niespłacenia podatków, władze zjawyłyby się na miejscu konfiskując, co tylko się da. To doprowadziłoby do naszego ujawnienia, bardzo groźnej sytuacji. Jak już wspomniałem, chłop był bardzo biedny. Ze swojego poletka ledwie mógł wyżywić rodzinę. Daliśmy mu pieniądze, żeby kupił zboże i wywiązał się z kontyngentu. Musieliśmy uważać, żeby sąsiedzi nie zaczęli się domyślać, skąd ma pieniądze na zboże. Radziliśmy mu, żeby kupował małe ilości pszenicy, albo pożyczył metr od sąsiadów i potem spłacił dług, ale zdecydowanie nie ujawniać pieniędzy, które od nas dostał. Miał również warsztat stolarski, który mógł być też jego źródłem utrzymania. Mógł spłacić swe wydatki z zaoszczędzonych pieniędzy. Pomagaliśmy mu zsumować jego przychody i wydatki i rozwiązać jego finansowe problemy.

Czasem musieliśmy rozwiązywać problemy innej natury. Władze nakazały zarejestrować się wszystkim dziewczynkom i kobietom powyżej 15 roku życia do pracy w Niemczech. Córka gospodarza właśnie skończyła 15 lat i stała się zdolna do pracy. Ale jej matka skarżyła się i za żadne skarby nie pozwalała dziewczynce jechać. Wiedzieliśmy, że w takich przypadkach żandarmi skonfiskują im wszystko, a dziewczynka i tak zostanie zabrana. Tego należało uniknąć. Musieliśmy znaleźć inne rozwiązanie. Wiedzieliśmy, że gospodarze mieli drugą zamężną córkę, która właśnie była w ciąży. Nasz plan polegał na tym, żeby podstawić ją zamiast młodszej siostry.

Komisja zbadała dziewczynę, rozpoznała ciążę i zwolniła ją z obowiązku. W ten sposób uratowaliśmy córkę gospodarza.

Tego lata, kiedy prace na polu przybrały na intensywności, zadanie przynoszenia nam jedzenia spoczęło na owej „uratowanej” przez nas dziewczynie. Była dla nas jak siostra.

Nastaly letnie upały wprost nie do wytrzymania i nasza kryjówka przypominała gotujący się kocioł. Na strychu brakowało powietrza. Ledwie mogliśmy oddychać. Zrobiliśmy dziurę w dachu, przez którą mogliśmy wyglądać na wolny świat. Zwłaszcza w niedziele patrzyliśmy z zazdrością na wystrojonych młodych mieszkańców wsi, na dzieci i staruszków idących żwawo do kościoła, śpiewających radośnie. Wolność za jaką cenę? Zastanawialiśmy się, dlaczego musimy znosić tyle bólu, tyle cierpienia. Chociaż ci prości ludzie związani są ze

swoimi maleńkimi gospodarstwami i niewiele wiedzą o świecie wokół nich, mają się znacznie lepiej od nas.

Lato miało się ku końcowi, a wojna trwała. Gospodarz zaczął zdradzać objawy zniecierpliwienia. Pieniądze, jakie dostawał nie zadowalały go. Powoli opuszczała go chęć niesienia nam pomocy. O ile dotychczas mogliśmy zmieniać bieliznę co sześć tygodni, teraz musieliśmy czekać na zmianę dziesięć. W oczywisty sposób nasz obrońca tracił cierpliwość. Lato się skończyło, Chłop używał słomy, którą się przykrywaliśmy, do karmienia swoich zwierząt, odsłaniając naszą kryjówkę. W czasie częstych przeszukań wsi przez żandarmów, gospodarz zostawiał dom opuszczony pozostawiając nas bez żadnej ochrony.

Dowiedzieliśmy się, że Włosi zerwali przymierze z Niemcami,. Ta wiadomość poprawiała humor gospodarza. Byliśmy pewni, że wkrótce nadejdą Rosjanie i zacznie się zupełnie nowe życie. Ale zanim zjawili się Rosjanie, nadeszła zima, a wojna trwała. Musieliśmy pozostać w stodole i próbować przetrwać surową polską zimę bez ciepłej odzieży, bez dostatecznej ilości słomy, by się nią otulić. Zapadały długie, ciemne i chłodne zimowe noce. Gospodarz, chociaż wykazywał zrozumienie dla naszych potrzeb, niewiele mógł pomóc.

Dnie stawały się krótsze. Krótkie godziny dziennego światła sprawiały, że trudno było nam przeprowadzać codzienne czyszczenie bielizny z wszy. Ale bez względu na przejmujące zimno musieliśmy to robić, bo ukąszenia pasożytów były nie do zniesienia. Zmuszaliśmy się , by godzinami stać z lodowatym powietrzem nago i jeść w ciemności nasze posiłki (już około 3 po południu było ciemno). Nauczaliśmy się z wielką zręcznością używać pojemników na jedzenie. Zobojętnieliśmy na niedogodności zimowych nocy i poranków. Pragnienie przetrwania było nieustannie w naszych głowach. Z goryczą w sercach walczyliśmy o swoje życie. Przestaliśmy się uśmiechać. Z naszych twarzy zniknął nawet cień radości. Nauczaliśmy się poruszać w ciemności jak koty, bezszelestnie posługiwać się łyżkami i widelcami. Mróz sięgał do szpiku kości, ale nie do naszego umysłu. Podtrzymywała naszego ducha nadzieja, że Hitler zostanie pokonany wiosną.

Znów nadeszła wiosna a pola uwolniły się spod białego śniegu. Plamy zieleni zaczęły prześwitywać pośród brudnego topniejącego lodu. Ptaki znów powróciły na nasz strych. Ich śpiewy i trele jakby potwierdzały, że darowano nam trochę życia. Dni stawały się dłuższe i cieplejsze. Wszystko powoli budziło się z zimowego snu. Na uliczkach kobiety bawiły się ze swoimi dziećmi. Robiło się ciepło. Wszystko ożywiało się ponownie. Tylko nasi najdrożsi i kochani odeszli na zawsze. Martwi. Dla nich nie było zmartwychwstania. Spoczywali pod warstwami ziemi. Błogosławione słońce było bezsilne i nie mogło ogrzać i przywrócić do życia milionów pomordowanych

W zimie leniwi i bojący się mrozu żandarmi z rzadka zaglądali do wsi, chyba, że wymagała tego nadzwyczajna sytuacja. Ale wraz z nadejściem ciepłych dni tłuszczy żandarmi zjawili się ponownie. Znów rewizje i naloty stały się codziennością, nasz gospodarz stracił już nadzieję, że wojna się skończy, a on w końcu się nas pozbędzie. Wysiłaliśmy cały nasz dar perswazji, żeby przekonać go, że wkrótce będzie po wszystkim, a my wynagrodzimy go wszystkim, o czym tylko zamarzy. Jego żona rzadko do nas zaglądała i nikt właściwie do nas nie przychodził poza córką gospodarza Manią, która zjawiała się z jedzeniem.

Pewnego dnia zobaczyliśmy główkę dziecka wciskającą się przez drzwi. To był sześciolatek synek naszego dobroczyńcy, który szukał kija do zrobienia wędki. Nie miał pojęcia, że ukrywamy się w stodole. Aby uniknąć spotkania z nim zaczęliśmy się wciskać głębiej na



strych. Usłyszawszy odgłosy naszych ruchów chłopiec przestraszył się i uciekł w pośpiechu. Zaczęliśmy się bać najgorszego. Mógł zaalarmować całą wieś kładąc kres naszym nadziejom. Po pewnym czasie chłopiec powrócił z ojcem mówiąc mu, że jakieś dzikie zwierzęta załęgły się na strychu. Ojciec przyprowadził go, żeby mu nas przedstawić. Od tej pory zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Chłopiec pomagał nosić nam nasze porcje jedzenia i często przynosił nam dodatkową wodę do picia, zwłaszcza w gorące dni. Później pomagał nam, tak, jak tylko potrafił.

Nasz humor poprawiał się. Wiadomości, jakie do nas docierały, były bardzo pocieszające. Front posuwał się na zachód wyganiając nazistów z kraju. Nasze wyzwolenie przybliżało się.

Gospodarz przyniósł nam tragiczną wiadomość. W lesie koło Suchowoli schwytano i zastrzelono na miejscu dwóch Żydów. Byli to dwaj krawcy z naszego miasteczka. Wydał ich sołtys wioski Leśniki (?) po tym, jak przyszli do niego prosząc, by sprzedał im trochę chleba. Byli to Baruch Babri i Szolom Berek.

Wiadomość zaboliała nas do żywego. Dwóch młodych ludzi, którzy stawiali czoła przeciwnościom przez tak długi czas gdzieś tam w głębi lasu, stało się ofiarami niegasnącej nienawiści.

Postanowiliśmy nie zmieniać swojego miejsca ukrycia. Wiadomości prawie do nas nie docierały. W okolicy nie było partyzantki. Nie mogliśmy się z nikim skontaktować. Nie mogliśmy ufać Polakom bez obawy bycia zdradzonym. Słyszeliśmy strzelaninę za dnia i odgłosy kanonady ciężkiej artylerii nocami. Widzieliśmy obłoki dymów z palących się okolicznych wiosek. Słyszeliśmy samoloty, których warkot przerywał ciszę nocną i detonacje bomb spadających gdzieś w pobliżu.

Byliśmy prawie pewni, że wkrótce zostaniemy wyzwoleni. Gospodarz przynosił nam więcej wiadomości: Rosjanie byli w Wołkowysku, w Grodnie, wkrótce mieli nas wyzwolić. Gospodarz przynosił radosne wiadomości z kompletną szczerością. Rzeczywiście chciał, żebyśmy już byli wolni. Poza wszystkim robił dla nas, co tylko mógł pomimo swej biedy. Żył w nieustannej trwodze ryzykując życie swoje i swojej rodziny przez długich czternaście miesięcy ukrywania nas. Kanonada przybierała na sile z dnia na dzień. Dla każdego było jasne, że wyzwolenie jest blisko. Mogliśmy spodziewać się nadejścia Rosjan każdego dnia.

Nagle w wiosce zjawili się Niemcy i poinformowali sołtysa, że następnego dnia jednostki niemieckie zajmą pozycje we wsi. W naszego dobroczyńcę jakby piorun strzelił. Był strasznie wzburzony i nie wiedział, co robić. Nie było czasu na zastanowienie. Zaraz zjawił się jego kuzyn i razem zdecydowaliśmy, że musimy natychmiast opuścić kryjówkę. Następnego dnia mogło być za późno.

Gospodarz przyciągnął wóz do stodoły. Położyliśmy się na jego dnie, nakryli nas słomą dla kamuflażu i położył na nas ciężkie taczki. Zawiózł nas na to samo miejsce, w którym spędziliśmy poprzednią zimę w kopcu. Tym razem siedzieliśmy aż do zmroku w kukurydzy<sup>12</sup> i dopiero wtedy, pod osłoną nocy poszliśmy na strych stodoły właściciela pola. Tam

---

<sup>12</sup> W tłumaczeniu angielskim pojawia się kukurydza; nie wiem, czy nie jest to błąd tłumacza i czy w tym czasie w ogóle siano w okolicy kukurydzą.

spędziliśmy kilka następnych tygodni zawsze czujni i ostrożni, by nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Baliśmy się zwłaszcza, że odkryje nas żona właściciela, która nie wiedziała o nas, będąc w złych stosunkach z mężem, mogła nas łatwo zadenuncjować żandarmom.

Z ukrycia mogliśmy oglądać okolicę. Codziennie widzieliśmy chmury dymów nad płonącymi wioskami – pewny znak walki w okolicach i zbliżającego się frontu.

Co kilka godzin przychodził do nas gospodarz z wiadomościami o zaciętych walkach. Rosjanie zbliżali się bardzo szybko, byli już 15 kilometrów stąd, już 10, posuwali się szybko, jak w filmie.

Gospodarstwo, w którym się ukrywaliśmy znajdowało się około 100 metrów od rzeczki brzozówki, która stanowiła granicę powiatów sokólskiego i białostockiego. Nagle pojawiła się grupa Niemców. Kilku oficerów podeszło do rzeki, sprawdziło położenie na mapach i szybko zniknęło. Inna grupa Niemców nadciągnęła i natychmiast zaczęła zganiać bydło z łąk ku wsi Dolistowo.

Z ruchów Niemców zgadywaliśmy, że ich oddziały wycofują się.

To musiały być ostatnie zmagania wojenne. W wiosce panowała panika. Chłopi próbowali zatrzymać część swoich trzód, ale jakiejkolwiek próby przeciwdziałania rabunkowi wsi przez Niemców, spotykały się z bezwzględным odzewem. W powietrzu słychać było strzały i wielu chłopów musiało uciekać, by ratować swe życie.

Tego wieczora nasz gospodarz powiedział nam, że Niemcy mogą rozciągnąć linię obrony na rzece. Sytuacja zmieniała się na niekorzyść. Nasze życie było zagrożone. Byliśmy w beznadziejnym położeniu. Wolność była tuż tuż, a tu – zagłada. Błagaliśmy gospodarza, by przeprowadził nas przez rzekę jeszcze tej samej nocy, zanim nadejdą Niemcy. Znał brody, głębokość wody, bezpieczne przejścia. Obiecał pomóc, ale tej nocy już się nie zjawił. A kiedy przyszedł rankiem, było zbyt późno. Niemcy byli wszędzie. Zналиśmy okoliczne wsie i widzieliśmy dokładnie, które z nich zostały podpalone. Wioski dokoła naszego miasteczka doświadczyły strasznego losu. Tego wieczora wysadzono mosty na rzece i kościół w miasteczku.

Niemcy umacniali stanowiska obrony na rzece. Nie było innego wyjścia, tylko siedzieć i czekać na najgorsze, na śmierć.

Następnego ranka prawie nie dostaliśmy jedzenia od naszego gospodarza. Myślał, że już po wszystkim. Popełnił pomyłkę, od której nie było już odwrotu. Przez dziurę w dachu widzieliśmy Rosjan po drugiej stronie rzeki. Ustaliła się linia frontu. Nocami wojska przemieszczały się, zajmowały pozycje. Całymi nocami trwała strzelanina, która przybierała na intensywności w ciągu dnia.

W czasie pierwszych dni walk ludność cywilna pozostawała w domach. Później ludzie dostali rozkaz ewakuacji. Wiadomość przyniósł nam gospodarz, który dostarczył nam jedzenia: 2 kg chleba, plaster boczku i dzban wody. Obiecał, że wróci z zapadnięciem nocy i odszedł. Minęło kilka dni, a gospodarz nie zjawiał się. Prawie nie widać było cywilów. Powoli dotarło do nas, że zmiany związane są z ewakuacją ludności. Słyszeliśmy ryki opuszczonego bydła, które nie miało paszy, ani wody. Z godziny na godzinę walki stawały się coraz bardziej

zaciekle. Przez całą noc ogłuszały nas mocniej i mocniej odgłosy pocisków. Dach nad stodołą wyglądał jak wielkie podziurawione sito. Nagle stodołę rozjaśniło światło.

Zaczynało nam brakować jedzenia. Było nas czterech, a mieliśmy znikomą ilość jedzenia i wody. Byliśmy w stanie zagrożenia życia w wyniku ciągłego głodu. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Odrobina jedzenia i wody, jakie mieliśmy nie mogła wystarczyć na długo. Nasze racje jedzenia wynosiły 20 gramów chleba na dobę. Panował głód. Rosjanie nasilili kanonadę. Katusze w mgnieniu oka zasypywały niemieckie pozycje pociskami.

Nasz towarzysz Marienberg zaczął puchnąć z głodu. Drugi, Mojsze Titkin leżał nieprzytomny, nie mógł się ruszyć. Ile możemy wytrzymać bez jedzenia? Minęło dziewięć dni. Dziesiątego dnia spróbowaliśmy wydoić krowę, która została w naszej stodole. Zleźliśmy na dół z moim przyjacielem Farbsztajnem i zdołaliśmy udoić litr mleka. Strasznie nam smakowało po dziewięciu dniach jedzenia okruchów chleba i bez żadnego picia.

Jeszcze dwa razy zdołaliśmy wydoić krowę. Ogień strzelaniny wybił większość bydła. Trudno było zdobyć wodę do picia. Śmierć zaglądała nam w oczy. Wyglądaliśmy jak szkielety. Twarze się nam wyciągnęły ciemne i niegolone, przerażony wygląd moich kolegów nadawał im wyraz, jakby czegoś ode mnie żądali. A jednak obudziły we mnie odwagę. Nie, nie dam się pokonać głodowi.

Tymczasem słyszeliśmy głosy rannych żołnierzy: „Hans, rette, rette!”, I głosy zwycięskich żołnierzy rosyjskich: „uraaa!”. Chrapliwe głosy oficerów niemieckich rzucających rozkazy uciekającym tłumom. Strzelanina nasilała się – cały czas była bliżej. Słyszeliśmy rozkazy z pierwszej, potem drugiej linii.

## **Złapani przez Niemców nieomal zginęliśmy tuż przed Wyzwoleniem**

Myśleliśmy, że Rosjanie zajmą wieś rano. Rankiem okazało się jednak, że słyszeliśmy Niemców okopujących się wokół ścian stodoły. Nie dawali za wygraną. Głód i pragnienie doprowadzały nas do szału. Myślałem, że zginie. Zdecydowałem, że pójdę i przyniosę wody dla moich umierających kolegów, by podtrzymać tę iskrę życia, która się jeszcze w nich tliła. Studnia była około 15 metrów od stodoły. O zmierzchu usłyszeliśmy skrzyp wrót do stodoły. Przez dziurę zobaczyliśmy młodego niemieckiego żołnierza, który pod rabinie wspiął się do kurnika. Zabrał kilka jajek i wyszedł. Od tej pory codziennie zaglądaliśmy do kurnika po jajka aż do dnia, gdy żołnierz nie znalazł ani jednego jajka. Kury rozproszyły się na skutek ciągłej strzelaniny na zewnątrz. Niemiec myśląc, że kury przeniosły się gdzieś zaczął przeszukiwać stodołę. Pochowaliśmy się, każdy oddzielnie, w różnych kątach stodoły. Mój przyjaciel Marienberg niechcący poruszył się wydając szelest. Usłyszawszy hałas, Niemiec skoczył w tym kierunku. Wsadził rękę w słomę, ale zamiast kurczaka namacał głowę mojego przyjaciela. Przerażony odkryciem odskoczył wrzeszcząc: „koledzy, tu są Rosjanie” i wyciągnął rewolwer. W odpowiedzi wpadło więcej żołnierzy z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Zdałem sobie sprawę z przerażającego położenia, wyskoczyłem z kryjówki krzycząc po niemiecku: „Kameraden, wir sind nicht Russen. Habt keine Angst!” (Towarzysze, nie jesteśmy Rosjanami, nie bójcie się!). Wszyscy moi towarzysze także wyszli z kryjówek.

Wyglądaliśmy na wpół-żywych a po 17 miesiącach szeptania, nie byliśmy w stanie wydobyć z siebie głosu. Nasze głosy po prostu straciły dźwięk. Działo się to o czwartej nad ranem, w dwunastym dniu walk w naszej kolonii.

Natychmiast otoczył nas oddział żołnierzy i zaczęło się przesłuchanie. Przyznaliśmy się, że jesteśmy Polakami. Zapytani, co robimy w stodole, powiedzieliśmy, że nie wiedzieliśmy o rozkazie ewakuacji. Zapytani, dlaczego nie wyszliśmy ze stodoły, powiedzieliśmy, że baliśmy się strzelaniny na zewnątrz. Po przesłuchaniu dali nam trochę jedzenia i picia.

Najstarszy rangą w tym oddziale był podoficer. Napisał coś na skrawku papieru i kazał jednemu z żołnierzy odprowadzić nas do oficera, który stacjonował około 4 kilometrów dalej, w lesie. Kazano nam iść natychmiast, bo Rosjanie mogli wypatrzeć nas przez lornetki. W pobliżu znajdował się oddział rosyjskich snajperów, którzy z łatwością mogli nas namierzyć.

Maszerując zaczęliśmy gadać z żołnierzem, który trochę mówił po polsku. Poczęstował nas papierosami. Jakakolwiek myśl o ucieczce, jaka mogła nam przemknąć przez głowę, szybko wywietrzała nam z głowy. Zanim weszliśmy do lasu, zatrzymał nas patrol żołnierzy. Nasz strażnik wyjaśnił, na czym polega jego zadanie i podążyliśmy dalej w las.

W końcu dotarliśmy do kwatery oficera. Ustawiliśmy się w szeregu, podczas gdy nasz żołnierz poszedł zameldować oficerowi, że przyprowadził czterech Polaków, którzy nie wiedzieli o rozkazie ewakuacji. Oficer zlustrował nas i kazał nam usiąść na ziemi. Siedzieliśmy tak kilka godzin. Żołnierze przynieśli nam jedzenie i picie, a my jedliśmy dużo pozostając w przekonaniu, że zaraz nas zastrzelą.

W południe zauważyliśmy dwóch przechodzących мимо, zadowolonych żołnierzy ze szpadlami. Popatrzyliśmy na siebie wymownie. Nasz wzrok mówił: „No to koniec, kopią groby dla nas, nasze minuty są policzone”.

O czwartej nad ranem przyszedł żołnierz i poprosił mnie, żebym pomógł napoić konie. Poszedłem z nim, a kiedy wróciłem, zastałem moich przyjaciół wciąż siedzących na tych samych miejscach. Oficer i żołnierze wypiwszy sporo alkoholu poszli włączyć się do toczącej się nieopodal walki. Po pewnym czasie powrócili wysmarowani błotem i brudem, prowadząc ze sobą rosyjskiego jeńca.

Oficer opowiadał o swoich bohaterskich wyczynach. Koło wsi Karpowicze zaatakowali rosyjski bunkier, udusili rosyjskiego majora oraz pięciu oficerów i żołnierzy i wzięli jednego jeńca. Kiedy skończył wypić jeszcze parę sznapsów, zakąsił i wysłał jeńca do dowództwa na rowerze.

Kiedy sobie poszedł inni żołnierze z grupy szturmowej zaczęli wspominać swoich przyjaciół zabitych i rannych w ataku. Z rozmowy wynikało, że dwaj żołnierze ze szpadlami, o których myśleliśmy, że szli kopać nasz grób, w rzeczywistości kopało schron.

Wieczorem zostaliśmy zabrani do kolonii nieopodal wioski Dolistowo i tam trzymano nas pod strażą. Siedzieliśmy przez całą noc pod gołym niebem ale nie mogliśmy zmrużyć oka.

Trzęśliśmy się z zimna i umieraliśmy ze zdenerwowania. Żołnierz, który znał polski całkiem nieźle przykleił się do naszego kolegi Farbsztajna, który po polsku mówił słabo i zadawał mnóstwo pytań domagając się właściwych odpowiedzi. Żołnierz podejrzewał, że jest Żydem i groził, że go pobije albo zastrzeli, jeśli się do tego sam nie przyzna. Trwało to całą noc, aż w końcu wtrąciłem się i powiedziałem, żeby przestał nas dręczyć. Powiedziałem, że nawet Niemiec by nas tak nie maltretował, ale on, nasz brat-Polak, bo wszyscy jesteśmy Polakami, nie daje nam odpocząć. Moje słowa odniosły skutek, niechętnie się odczepił.

Jakoś udało się nam przeżyć tę noc. Rankiem, około 8 rano, dwóch żołnierzy odprowadziło nas do grupy roboczej we wsi Klewianka koło Goniądza. Było tam około trzydziestu chłopów zgromadzonych w budynku pod silną strażą. Wśród strażników był Ukrainiec, który znów przyczepił się do naszego kolegi Farbsztajna i nie można się go było pozbyć. Na szczęście Farbsztajn mógł tym razem poprosić o pomoc chłopów, z którymi robił przed wojną interesy. Powiedzieli Ukraińcowi, że Farbsztajn nie jest Żydem.

A więc znów udało się nam uniknąć śmierci. Niemcy nie dzielili robotników na Żydów i nie-Żydów, bo po prostu nie wiedzieli o nas.

Mieliśmy za zadanie pogrzebać ciała poległych na linii walki pod Karpowiczami. Maszerowaliśmy 30 kilometrów w tę i z powrotem do linii frontu. Pracowaliśmy przez noc i wróciliśmy około południa do wioski. Czasami dostrzegali nas Rosjanie i otwierali ogień w naszym kierunku.

Pewnego razu, bardzo wcześnie rano zauważyliśmy, że Niemcy w pośpiechu zwijają obóz i pakują się na samochody i wozy. Nie było wątpliwości, że przenoszą swoje pozycje. Cały sprzęt odwozili w kierunku Osowca. Pociągnęli nas w ślad za taborami. W ciemnościach nocy widzieliśmy wszędzie łuny pożarów. Niemcy podpalali wszystko, co spotykali na swej drodze. Na drodze było pełno broni i wojskowego sprzętu do rozbijania obozów. Nasze przybycie do Osowca było bardzo nieprzyjemne. Myśleliśmy, że front zatrzyma się tutaj na jakiś czas. Niemcy powstrzymali Rosjan na linii rzeki przez 14 dni, ale teraz, gdy założyli obóz w twierdzy sowieckiej, wydawało się, że okopali się na dłużej.

Zaczęliśmy myśleć o ucieczce, ale w okolicy pełnej wojska, gdzie płonęło wszystko dokoła, było to bardzo niebezpieczne.

Nasz oddział zatrzymał się w Brzozowie-Wólce. W oddziale było dwóch chłopów, których znałem. Mieli kopać rowy przeciwko jednostkom zmotoryzowanym. Razem z nimi zaczęliśmy knuć plany ucieczki.

Rosyjski wywiad wytropił nowe pozycje niemieckie i bombardował je rozbijając w pył. Niemcy musieli opuścić twierdzę i pójść w innym kierunku. Uznaliśmy, że ucieczka w tym czasie jest zbyt trudna. Niemcy maszerowali razem z nami, transportery były nimi wypakowane. Maszerowaliśmy razem z tymi dwoma chłopami ze dwa kilometry. Potem zdali sobie sprawę, że nasze towarzystwo może ściągnąć na nich zagrożenie życia i zaczęli maszerować oddzielnie.

Zostaliśmy z tyłu, wszyscy czterej, w jednej z kolonii nieopodal lasu, w wiosce Brzozowa Wólka. Tu odszukaliśmy znajomego szewca o nazwisku Babzik<sup>13</sup>. Miał on w wiosce mały

<sup>13</sup>

Nazwisko prawdopodobnie błędnie podane w wersji angielskiej.

domek. Farbsztajn i ja zamieszkaliśmy u niego na strychu, a Titkin i Marienberg schowali się w stogach na polu.

Żona szewca była nam życzliwa, mimo, iż zdawała sobie sprawę, że jesteśmy Żydami, ale nie była w stanie żywić czterech dodatkowych osób. W dodatku pełno było uchodźców z okolicznych, podpalonych przez wycofujących się Niemców wiosek. Przyzwyczailiśmy się już do niejedzenia. Nasz problem polegał na tym, by uniknąć denuncjacji przez licznych uchodźców wśród których było wielu morderców, mających na sumieniu zamordowanych Żydów. Po 14 dniach spędzonych w kolonii, wydano wszystkim mieszkańcom rozkaz opuszczenia domów. Ten dekret był dla nas jak grom z jasnego nieba. Jedyna wolna droga prowadziła do Jedwabnego i Szczuczyna. Nie znaliśmy tych okolic. Wiedzieliśmy jednak, że mieszkańcy tych okolic zasłynęli swoją żądną krwi nienawiścią do Żydów. W okolicznych miasteczkach i wioskach takich, jak Rajgród, Grajewo, Szczuczyn i Goniądz popełnili najbardziej barbarzyńskie zbrodnie mordując Żydów. W tych miejscach Żydzi ginęli masowo w wyniku najpotworniejszych morderstw i niesłychanych zbrodni.

Musieliśmy jednak ruszać. Postanowiliśmy się rozdzielić i szukać szczęścia wędrując po dwóch. Farbsztajn i ja ze łzami w oczach rozstaliśmy się z naszymi przyjaciółmi i powędrowaliśmy w innym kierunku. Przed wieczorem dotarliśmy do wsi Oportowo. Spotkaliśmy tam starszego chłopca, który pozwolił nam przespać się na strychu swojego domu. Rano jego żona dała nam jeść. Kiedy tylko zorientowała się, że jesteśmy Żydami, odmówiła nam dalszego jedzenia i noclegu. Jej odmowa kompletnie nas przybiła. Mój przyjaciel Farbsztajn załamał się. Myślał, że jego blada, nieogolona twarz może budzić podejrzenia. Starłem się go trochę pocieszyć i uspokoić jego obawy. W ciszy zdecydowaliśmy, że musimy się rozstać. Bez jednego słowa, ze ściśniętym gardłem pożegnaliśmy się w tej tragicznej chwili i rozeszliśmy się w różnych kierunkach. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co się z nim potem stało.

Niedaleko od wioski znalazłem się między dwoma lasami. Szedłem nie wiedząc, dokąd idę. Zauważyłem z lasu dziewczynę pracującą na polu. Miałem na sobie marynarkę zrobioną z polskiego munduru. Z daleka zobaczyłem jadący w moim kierunku woskowy samochód. Odwróciłem się i zacząłem rozmowę z dziewczyną. Powiedziała mi, że została wypędzona z Osowca i teraz zatrzymała się w tej osadzie. Niemiecki wóz zatrzymał się przy nas. Prowadził go żołnierz, a wypełniony był pomidorami, na szczycie których siedział podoficer. Udałem, że ich nie widzę i dalej ciągnąłem rozmowę z dziewczyną. Podoficer zaczął mnie przepytować: „Kim jestem? Co tu robię, Skąd przyszedłem, Dokumenty?”. Powiedziałem, że jestem tатarem, nie mam dokumentów, dostałem rozkaz opuszczenia wioski, bo zajęli ją Rosjanie, marynarkę dostałem od chłopca, a idę do Wąsoszy, małego miasteczka położonego nieopodal. Wysłuchał mnie cierpliwie i zapytał, skąd tak dobrze znam niemiecki. Powiedziałem, że w czasie pierwszej wojny w okolicach było wielu Niemców i uczyłem się w niemieckiej szkole. Wtedy zaprosił mnie do samochodu. Natychmiast zdecydowałem się przyjąć zaproszenie, aby nie budzić podejrzeń. Wdrapałem się na platformę, a mój „przyjaciel” zapytał, czy nie jestem głodny. Kiedy odpowiedziałem twierdząco, dał mi cztery pomidory i chleba, który powoli zjadłem. Starłem się zachować spokój. Nie miałem nic do stracenia. Nie bałem się śmierci, zbyt często spoglądałem jej w oczy.

Po krótkiej jeździe samochód skręcił w lewo do lasu. Był tam obóz niemiecki. Wielu żołnierzy krzątało się wokół swoich zadań. Pomiędzy drzewami stał tam stół i krzesła. Na ławce stała misa, w której mył się pół nagi człowiek. Mój towarzysz zameldował temu pół gołemu mężczyźnie, że przywiózł Tatara, Polaka, którego można wykorzystać do pracy.

Mężczyzna kazał mi poczekać, aż skończy mycie, a potem zameldować się ponownie. Zajęło mu prawie godzinę, zanim skończył toaletę. Wtedy wypytał mnie ponownie zadając wszystkie pytania, które zadał mi poprzednio podoficer, sprawdził, czy moje odpowiedzi zgadzają się z tymi, jakich udzieliłem poprzednio i... pozwolił mi się urwać z haczyka. Następnego ranka zostałem przetransportowany do obozu pracy w Prusach Wschodnich, gdzie pozostawałem aż do 28 marca 1945 roku, kiedy to zostaliśmy wyzwoleni.

Po wyzwoleniu zjeździłem świat szukając miejsca do osiedlenia i nowego domu.